AMBASADOR

(1982)

SZTUKA W TRZECH AKTACH

Scena przedstawia gabinet Ambasadora. Ściany, sufit, okna, drzwi — są umowne. Realistyczne są tylko meble. A mianowicie biurko Ambasadora ustawione centralnie, w głębi — i krzesło za biurkiem. Drugie krzesło przed biurkiem. Dwa fotele i niski stolik po lewej stronie sceny. Drugi stolik po prawej stronie sceny. Meble są „stylowe", ale nie w żadnym ze stylów „nowoczesnych". To znaczy — pochodzą z jakiejkolwiek epoki czy okresu, zanim jeszcze pojawiło się pojęcie „awangardy" i „nowoczesności" w architekturze wnętrz.

Biurko Ambasadora nie jest właściwie biurkiem według zazwyczaj stosowanej definicji biurka, to znaczy nie jest meblem złożonym z sześcianów. Biurko Ambasadora jest dużym, długim stołem, jakkolwiek ozdobnym i reprezentacyjnym. Również dwa fotele po lewej stronie nie przedstawiają się jako bryły, to znaczy nie mogą być „pufami", fotelami klubowymi itp. Są to fotele wyścielane, wygodne, ale stoją wyraźnie na własnych nogach, a nie wyrastają z podłogi jako bryły. Chodzi o to, żeby zachować przejrzystość sceny i nie obciążać jej bryłowatą architekturą.

Pożądane jest, żeby biurko (stół) Ambasadora, krzesło za nim stojące (raczej majestatyczne), drugie krzesło przed nim stojące, stolik i dwa fotele oraz drugi stolik tworzyły harmonijny zespół, nie tylko pochodziły z tej samej epoki, ale sprawiały wrażenie,

że pochodzą z tej samej pracowni i że mają dużą wartość. Przede wszystkim należy unikać wrażenia tandety.

Na biurku (stole) Ambasadora znajdują się: przybory do pisania, lampa i telefon. Na stoliku po lewej stronie: papierosy, cygara, zapałki, popielniczka. Na drugim stoliku po prawej stronie sceny: kieliszki i kilka butelek, jak zwykle w takich okolicznościach — whisky, gin, sherry, martini, koniak.

Cała powierzchnia sceny pokryta jest wielkim dywanem. Wzór nie może być agresywny, przeciwnie — stonowany jak niektóre dywany orientalne. Nie należy pokazywać gołych desek sceny. Gładka powierzchnia dopuszczalna jest tylko wtedy, kiedy dysponujemy odpowiednimi środkami, żeby uzyskać efekt kosztownego, doskonale utrzymanego i wywoskowanego parkietu.

Wysoko nad biurkiem Ambasadora, w głębi — a jeżeli gramy na scenie otwartej, nie pudełkowej, to wtedy pośrodku nad sceną — zawieszona jest duża płaskorzeźba (albo rzeźba, jeżeli gramy na scenie otwartej). Jest to fantazyjne godło-herb-emblemat, które jest wyimaginowanym godłem wyimaginowanego państwa. Można tu zastosować do wyboru: orły, lwy, gryfy, jednorożce, skrzyżowane miecze i sztandary, włócznie i lufy dział — w rozmaitych kombinacjach i najróżniejszych ornamentach, złoto, srebro, stal, miedź, mosiądz, emalię czarną, białą, purpurową.

Autor przedstawia tutaj zasadnicze, niezbędne elementy inscenizacji-scenografii. Oczywiście w każdym poszczególnym wypadku realizacji tej sztuki inscenizacja-scenografia może być bardziej rozbudowana. Indywidualna wizja reżysera i scenografa nie tylko nie jest, oczywiście, wykluczona, ale jest — również oczywiście — pożądana, ponieważ znajdujemy się w teatrze, a nie w czytelni. Autor zastrzega jedynie, że wizja ta nie powinna doprowadzić do pełnego naturalizmu. Już samo zawieszenie godła-herbu-emblematu — rzeźby, która jest sama w sobie kompozycją wykraczającą poza użytkowy realizm kłóciłoby się z taką koncepcją, nie mówiąc już o elementach nadrealizmu zawartych w tej sztuce. Domaganie się przez autora, żeby meble były realne i realistyczne bynajmniej przecież nie oznacza jeszcze naturalizmu jako ogólnej

oprawy, koncepcji i efektu. Nawet jeżeli nie zostawimy tych mebli w próżni, ale zbudujemy ściany — to także nie musi oznaczać naturalizmu. Wszystko zależy nie od tego, co w tym względzie zrobimy, ale jak. Autor zastrzega także, że natrętne „udziwnienie" powinno być tak samo wykluczone jak naturalizm.

Trzecie zastrzeżenie dotyczy godła-herbu-emblematu. Ta rzeźba powinna być dominująca. Może być bombastyczna, niepokojąca, czy wręcz groźna, ale w żadnym wypadku nie może być parodystyczna ani groteskowa.

Przyjmujemy, że określenia „prawa", „lewa" strona znaczą — z punktu widzenia publiczności. Przyjmujemy, że gramy na scenie pudełkowej, choć tę sztukę można grać na scenie każdego rodzaju.

AKT I

Scena 1

Najpierw oświetlone jest tylko godło. Potem rozjaśnia się także powoli dół sceny i widzimy, co następuje: postawny, wysoki, okazały mężczyzna lat około pięćdziesięciu pięciu, czerstwy, szpakowaty, w okularach w ciemnej oprawie, doskonale i konserwatywnie ubrany, chodzi po scenie na czworakach, szuka czegoś, nisko nachylając głowę nad podłogą. Jest to Ambasador.

Po chwili wchodzi z lewej strony Otello, Pierwszy Sekretarz Ambasady. Ma lat nie więcej niż trzydzieści pięć, śniady, oliwkowy, nie nordycki, ale merydionalny, południowy, kreolski. Czarnowłosy, z krótką, czarną brodą. Ubrany w letni garnitur, jasny, kremowy o żółtawym odcieniu, koszulę w niebieskie i purpurowe pasy, krawat. Lśniące czarne buty z cholewkami i na wysokich obcasach. Na ręce złota bransoletka, teczka-aktówka pod pachą.

Otello zatrzymuje się niedaleko od wejścia. Ambasador nie zauważył go i wciąż na czworakach szuka teraz czegoś pod biurkiem.

OTELLO — Sir...

Ambasador wstaje zakłopotany, zdejmuje okulary i chowa je do kieszeni. Poprawia swoją doskonałą, dwurzędową marynarkę. Jest to wyłącznie gest mający pokryć zakłopotanie.

AMBASADOR — o której godzinie on tu będzie?

OTELLO — Punktualnie o dwunastej. Czy nie uprzedziłem pana?

AMBASADOR (*patrząc na zegarek*) — A więc jednak o dwunastej.

OTELLO — Czy zaniedbałem swoje obowiązki pierwszego sekretarza ambasady aż tak dalece, że uprzedzając mojego ambasadora o życzeniu lokalnego rządu, aby ambasador przyjął pełnomocnika tegoż rządu na specjalnej audiencji — omieszkałem zapytać mojego ambasadora nie tylko o dzień, w którym ambasador zechce go przyjąć, ale także o której godzinie?

AMBASADOR — Bynajmniej. Po prostu chciałem się jeszcze upewnić.

OTELLO — Jeżeli posunąłem moje niedbalstwo aż tak daleko, że po otrzymaniu odpowiedzi od mojego ambasadora nie przypominałem mu o własnej jego decyzji kilkakrotnie, a nawet jeszcze dziś rano...

AMBASADOR (*przerywając mu*) — Jest!

Ambasador przechodzi kilka kroków, schyla się i podnosi coś z ziemi. Nakłada okulary i ogląda znaleziony przedmiot.

AMBASADOR (*do siebie, rozczarowany*) — Nie, to nie to.

Pauza.

Ambasador ogląda przedmiot, obracając go w palcach.

AMBASADOR — To coś innego, Otello...
OTELLO — Sir?
AMBASADOR — Co to jest?

Otello podchodzi do Ambasadora, ogląda przedmiot.

OTELLO — Mikrofon, oczywiście.
AMBASADOR — Na podłodze?
OTELLO — Sprzątaczki źle wywiązują się ze swoich obowiązków, Sir.

AMBASADOR — Niech pan to zabierze do swojej kolekcji. (*podaje przedmiot sekretarzowi*) Pan zdaje się zbiera.

OTELLO — Nie, ale posyłam mojemu siostrzeńcowi. On chce również zostać dyplomatą, kiedy dorośnie.

AMBASADOR — A więc niech pan dołączy moje pozdrowienia i wyrazy zachęty.

OTELLO (*chowając mikrofon do kieszeni*) — Dziękuję, nie omieszkam. Mój siostrzeniec będzie zachwycony. Jak pan wie, Ekscelencjo, kariery tego rodzaju to nowość w naszej rodzinie. Ale pan, Ekscelencjo, nie tego szukał, mam wrażenie. Czy mogę pomóc?

AMBASADOR (*zdejmując okulary*) — Owszem. Proszę odnaleźć moją żonę.

OTELLO (*rozglądając się*) — Tutaj?

AMBASADOR — Czy to ma być żart?

OTELLO — Sir...

AMBASADOR — Moja żona o tej porze przebywa w ogrodzie.

OTELLO — I co mam jej oznajmić?

AMBASADOR — Że muszę z nią porozmawiać natychmiast.

OTELLO — Pozwalam sobie przypomnieć, że punktualnie o dwunastej...

AMBASADOR — Wiem, wiem (*patrząc na zegarek*) Ale jest dopiero jedenasta czterdzieści. Jeszcze zdążymy.

OTELLO — Sir!

Pauza.

AMBASADOR — Jeżeli w tej chwili pragnę porozmawiać z moją żoną, to tylko dlatego, że chodzi o sprawę publiczną.

OTELLO — Sir?

AMBASADOR — Narodową, ogólną. To bynajmniej nie jest sprawa prywatna. (*pauza*) Pan mi nie wierzy?

OTELLO — Jeżeli Ekscelencja mnie o tym zapewnia... Jakże bym śmiał...

AMBASADOR — Pańska ironia jest doprawdy nie na miejscu.

OTELLO — Moja ironia?

AMBASADOR — Tak. Nie na miejscu i nie w najlepszym gatunku. Od dawna chciałem na to panu zwrócić uwagę.

OTELLO — To pewnie dlatego, że na lepszą mnie nie stać. Zważywszy moje pochodzenie i fakt, że nie jestem dyplomowany przez ten sam uniwersytet co pan, Ekscelencjo.

AMBASADOR — I znowu pan zaczyna... Nie, pan raczej kontynuuje.

OTELLO — Jak pan sobie życzy, Ekscelencjo. Jestem tylko pańskim podwładnym.

AMBASADOR — Rozsądnie z pańskiej strony, że pan sam to przyznaje. Więc nie traćmy już czasu.

OTELLO (*kłaniając się przesadnie nisko*) — Do pańskich usług. (*idzie na lewo*)

AMBASADOR — Otello!

Otello zatrzymuje się i odwraca.

AMBASADOR — Tak! Jest pan moim podwładnym!

OTELLO — Sir?

AMBASADOR — I wymagam, żeby pan mi okazywał więcej szacunku. Służy pan swojemu narodowi.

OTELLO — Sir?

AMBASADOR — Swojemu, naszemu... Ach, mniejsza z tym. W każdym razie naród, któremu pan służy, tutaj ja reprezentuję!

Otello staje na baczność, przesadnie stuka obcasami, po czym wychodzi na lewo.

Scena 2

Ambasador przez chwilę jeszcze patrzy za sekretarzem, następnie siada za biurkiem, podnosi słuchawkę telefonu.

AMBASADOR — Proszę połączyć mnie z naszym ministerstwem spraw zagranicznych.

Odpowiada mu głos ze słuchawki, czyli z głośników ukrytych na scenie, aby słyszalny był dla publiczności, odpowiednio spreparowany, aby brzmiał jak głos telefoniczny.

GŁOS — Spróbuję, Sir.

Rozlega się charakterystyczny ryk-jazgot zagłuszanej stacji radiowej. Ambasador odrywa słuchawkę od porażonego ucha. Stuka w widełki aparatu. Hałas milknie.

GŁOS — Słucham?

AMBASADOR — Nie ma połączenia.

GŁOS — Czy mam spróbować jeszcze raz?

AMBASADOR — Oczywiście!

Ambasador czeka przez chwilę. Ze słuchawki rozlega się Tino Rossi z towarzyszeniem orkiestry, znana, sentymentalna pieśń „Mamma". Ambasador stuka w widełki. Znika Tino Rossi i jego orkiestra.

GŁOS — Słucham?

AMBASADOR — Prosiłem o połączenie.

GŁOS — A, prawda.

Ambasador czeka przez chwilę. Ze słuchawki rozlega się gdakanie kur. Ambasador stuka w widełki telefonu. Gdakanie kur milknie.

AMBASADOR (*z irytacją, z trudem kontrolowaną*) — Prosiłem o połączenie z naszym ministerstwem spraw zagranicznych.

GŁOS — To było nasze ministerstwo spraw zagranicznych, Sir.

Ambasador rzuca słuchawkę na widełki aparatu i ukrywa twarz w dłoniach.

Scena 3

Z prawej strony wchodzi żona Ambasadora, Amelie. Atrakcyjna kobieta, być może czterdziestopięcioletnia. Jej wiek trudny jest do ustalenia, ponieważ należy do tych kobiet, którym zamożność, elegancja i współczesna wiedza zapewniają wygląd w najwyższym stopniu estetyczny i bez wieku. Ubrana jest w strój ogrodniczy: rodzaj kombinezonu z niebieskiego drelichu (blue denim) wystylizowany przez haute-couture. Niesie bukiet świeżo ściętych kwiatów. Staje i czeka, ale Ambasador, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie zauważył jej wejścia. Wreszcie Amelie odzywa się pierwsza.

AMELIE — Sir...

Ambasador odrywa dłonie od twarzy, wstaje i wychodzi zza biurka.

AMBASADOR — Amelie, nareszcie... (*idąc ku niej szybko*) Jak dobrze, że jesteś (*wyciąga lewe ramię i podciąga rękaw marynarki*) Spójrz tylko...

AMELIE — Czy mam zaszczyt z Jego Ekscelencją Ambasadorem...

Ambasador zatrzymuje się, nie rozumiejąc.

AMELIE — Czy tu, w obcym kraju, rozmawiam z przedstawicielem mojej wielkiej ojczyzny...

AMBASADOR — Co to ma znaczyć...

AMELIE — Ja, zwyczajny obywatel, wyborca i podatnik...

AMBASADOR — Amelie, nie mam czasu na żarty.

AMELIE — Czy mogę usiąść?

AMBASADOR — Ależ o co ci chodzi, na miłość boską!

AMELIE — Czy mogę przynajmniej usiąść? Nie spodziewałam się, że Ambasador tak traktuje swoich ziomków, kiedy ich przyjmuje u siebie. Tak bez elementarnej kurtuazji. Ciekawe obyczaje panują w naszej służbie dyplomatycznej i to na najwyższym szczeblu. A może Ambasador traktuje tak tylko kobiety?

Ambasador, wciąż oszołomiony, mechanicznym gestem wskazuje na jeden z foteli.

AMELIE (*siadając*) — Dziękuję. (*rozgląda się*) A więc tak wygląda sanktuarium Ambasadora...

AMBASADOR — Amelie, skończmy z tym, chodzi teraz o coś istotnego. Prosiłem cię, bo...

AMELIE — Amelie? Do kogo pan Ambasador właściwie się zwraca...

AMBASADOR — Do swojej żony!

AMELIE — W takim razie — pomyłka. Przychodzę nie jako twoja żona, ale jako współobywatel jego ekscelencji.

AMBASADOR — Ale ja zwracam się do ciebie jako twój mąż. Czy możesz przez chwilę nie grać tej komedii, cokolwiek ona znaczy?

AMELIE — Dobrze. Ale tylko przez chwilę. Co się stało?

AMBASADOR (*pokazując jej rozpięty mankiet lewego rękawa koszuli*) — Zobacz...

AMELIE (*zmieniając ton*) — Nie trzeba. Zauważyłam od razu, kiedy tylko tu weszłam.

AMBASADOR — Sam nie wiem w jaki sposób...

AMELIE — Zgubiłeś spinkę.

AMBASADOR — Tak! Tak! I nigdzie nie mogę jej znaleźć. A za piętnaście minut... (*patrzy na zegarek*) Nie, już za dziesięć,

mam przyjąć pełnomocnika ich rządu, specjalna audiencja... Przecież nie mogę tak się pokazać.

AMELIE — Nie chcę wiedzieć, kogo masz przyjąć i dlaczego. Obiecałeś, że będziesz ze mną rozmawiał jako mój mąż, a tymczasem mówisz jako ambasador, który prywatnie opowiada o sprawach służbowych.

AMBASADOR — Ponieważ jestem twoim mężem i ambasadorem jednocześnie, o Jezu Chryste!

AMELIE (*wstaje*) — I tego właśnie mam dosyć.

AMBASADOR — Co?

AMELIE — Dosyć mam siebie jako żony ambasadora.

AMBASADOR — Nie chcesz być moją żoną?

AMELIE — Twoją — ewentualnie, ale nie twoją i ambasadora jednocześnie.

AMBASADOR — Ależ ja jestem jednym i drugim.

AMELIE — Więc musisz się zdecydować.

AMBASADOR — Nigdy dotąd między nami nie było tego problemu...

AMELIE — Od dwudziestu lat jestem tylko dodatkiem do twojej kariery. Powiernicą polityka w piżamie, składnicą państwowych sekretów w sypialni. I nie życzę już sobie, żeby moje łóżko należało do ministerstwa spraw zagranicznych.

AMBASADOR — Ależ...

AMELIE — Dziwi cię to? Oczywiście. Postanowiłam ci wreszcie powiedzieć.

AMBASADOR — Ależ na pewno porozmawiamy, tylko nie teraz... Czy mogłabyś coś zaradzić (*ogląda rozpięty rękaw bezradnie*) Dać mi nowe spinki...

AMELIE — Nie!

AMBASADOR — Jak to? Jesteś moją żoną.

AMELIE — Żoną ambasadora?

AMBASADOR — No właśnie.

AMELIE — Mnie to nie wystarcza.

AMBASADOR — Nie?

AMELIE — Nie.

AMBASADOR — Nie. Więc czego chcesz właściwie? O co ci chodzi?

AMELIE — Chciałabym... chcę... chciałabym znowu uwierzyć!

AMBASADOR — W co?

AMELIE — W co?

AMBASADOR — Właściwie w co?

AMELIE — W szlachetność motywów. W porządek historii. W wielkość naszego kraju (*mówi coraz prędzej*), w nieomylność rządu, w autorytety polityków, w czystość intencji, w powagę urzędów, w idee, w ideały...

AMBASADOR — Czy ja w to nie wierzę?

AMELIE — Wierzysz?

AMBASADOR (*zaskoczony*) — Nie zastanawiałem się nad tym. Ostatnio..

AMELIE — A ja nie wierzę.

AMBASADOR — W nic?

AMELIE — W nic.

AMBASADOR — Nawet we mnie?

AMELIE — W nic.

AMBASADOR — Jak to w nic? Przecież musi być coś.

AMELIE — Co?

AMBASADOR — No coś... coś przecież musi być...

AMELIE — Ale co?

AMBASADOR — Spinka. Moja droga spinka. Chodzi o spinkę. Zaraz tu będzie pełnomocnik. Czy mogłabyś łaskawie powiedzieć, czego właściwie chcesz?

AMELIE — Chcę... nie wiem... Chcę, chciałabym być znowu taka, jak kiedyś, jak wtedy kiedy byłam... kiedy byłam...

Pauza.

AMBASADOR — Jaka?

AMELIE — Kiedy byłam...

AMBASADOR — Niezależna?

AMELIE — Tak. Nie. Nie. Tak. Nie. To nie to.

AMBASADOR — Nie związana?

AMELIE — Nie. Nie. Nie o to chodzi.

AMBASADOR — Niewinna.

AMELIE — Co za bzdura. Nie. Nie. Nie.

AMBASADOR — Wiem.

AMELIE — Co?

AMBASADOR — Młoda.

AMELIE — Nie. Tak. Może. Ale ty nie powinieneś był tego powiedzieć.

AMBASADOR — Rozumiem.

AMELIE — Nic nie rozumiesz. Ani jako mąż, ani jako dyplomata. Zdyskwalifikowałeś się w obu kategoriach.

AMBASADOR — Nie rozumiem.

AMELIE — To widać.

AMBASADOR — Widocznie jestem zmęczony.

AMELIE — Po tym, co powiedziałeś...

AMBASADOR — Nic przecież nie powiedziałem.

AMELIE — Po tym, czego nie powiedziałeś...

AMBASADOR — Powiedziałem tylko...

AMELIE — Powiedziałeś, że...

AMBASADOR — Ale tak nie myślałem naprawdę.

AMELIE — Przestań. Sam wiesz, że teraz już nic ci nie pomoże.

AMBASADOR — Chciałem tylko powiedzieć...

AMELIE — Coraz gorzej.

AMBASADOR — To znaczy miałem na myśli....

AMELIE — Wolę odejść, zanim się skompromitujesz ostatecznie.

AMBASADOR — Poczekaj!

AMELIE — Odchodzę. Z litości dla ciebie.

Amelie wychodzi na prawo. Z lewej strony wchodzi Otello.

AMBASADOR — Ale moje spinki!

OTELLO — Sir, godzina dwunasta.

Ambasador ustawia się na środku sceny, chowa lewą rękę za siebie, zakładając ją na plecy.

AMBASADOR — Jestem gotowy.

Scena 4

Z lewej strony wchodzi pełnomocnik miejscowego rządu. Kwadratowy blondyn czterdziestopięcioletni. Ubrany równie nienagannie co Ambasador. Prawie równie. Jego ubranie jest o jeden ton za ciemne, koszula o jeden ton za jasna, krawat nieco za szeroki i odrobinę zbyt jaskrawy. Pełnomocnik staje w progu i wyciąga ramiona jak na powitanie bliskiego krewnego po

długim rozstaniu. Następnie szybko podchodzi do Ambasadora i kładzie mu ręce na ramionach.

PEŁNOMOCNIK (*kordialnie*) — Witam drogiego kolegę!
AMBASADOR (*zmieszany*) — To ja chciałbym...

Pełnomocnik przysuwa go do siebie energicznie, obejmuje i przykłada policzek do jego policzka, jak to nieraz można zobaczyć w sprawozdaniach filmowych z oficjalnych spotkań niektórych mężów stanu, witających się z przesadną serdecznością. Ambasador jest zaskoczony, zakłopotany i sztywny.

PEŁNOMOCNIK — A teraz buzi!

Obejmuje Ambasadora za szyję i zamierza go pocałować w usta. Ambasador odwraca twarz i uwalnia się z objęć.

PEŁNOMOCNIK (*cofając się*) — Co, nie?
AMBASADOR — Czy to konieczne?
PEŁNOMOCNIK — Jeśli o mnie chodzi, nie musi być, ale taki u nas zwyczaj.
AMBASADOR — Przepraszam, nie wiedziałem.
PEŁNOMOCNIK — My zawsze całujemy, my serdeczni ludzie. Szczerość, szczerość przede wszystkim. Co w sercu, to na gębie. To jest zasada naszej polityki.
AMBASADOR — Przyznaję, że to dla mnie nowość. Jak panu wiadomo, jestem tu od niedawna.
PEŁNOMOCNIK — Przyzwyczai się pan.
AMBASADOR — Mam nadzieję. Wobec tego... Martini czy sherry?

Nie mogąc już nadać audiencji oficjalnego charakteru, jak to było jego zamiarem, Ambasador przyjmuje do pewnego stopnia styl narzucony mu przez Pełnomocnika na wstępie. Przyjmuje konwencję nieoficjalną, raczej towarzyską.

PEŁNOMOCNIK — Koniak.

Ambasador podchodzi do stolika barowego. Po drodze wyjmuje chusteczkę i dyskretnie wyciera nią policzki.

PEŁNOMOCNIK — Ten, co mnie wprowadził, to służący?
AMBASADOR — Pierwszy sekretarz.

PEŁNOMOCNIK — Ajajaj... taki czarny?

AMBASADOR — Nasza konstytucja przewiduje, że wszyscy obywatele są równi, bez względu na kolor skóry.

PEŁNOMOCNIK — Wiem, wiem, ale nieprzyjemnie. Wie pan co? Dam panu radę: wziąć przemalowanego.

AMBASADOR — To znaczy?

PEŁNOMOCNIK — Proste. Bierze pan białego i maluje go pan na czarno. Wszyscy myślą, że on czarny, a on i tak jest biały. I pożytecznie i przyjemnie.

AMBASADOR — Oryginalny pomysł. I dziękuję za radę.

PEŁNOMOCNIK — Drobiazg. Jakby pan miał jeszcze jakieś kłopoty, zawsze może pan przyjść do mnie.

Ambasador podaje Pełnomocnikowi kieliszek, przygotowuje napój dla siebie. Manipuluje przy tym w ten sposób, żeby rozpięty lewy rękaw jego koszuli nie był widoczny dla Pełnomocnika. Obaj z kieliszkami w rękach, kierują się ku fotelom po lewej stronie sceny, siadają. Ambasador zakłada lewą rękę za plecy.

PEŁNOMOCNIK — Ma pan jakieś kłopoty?

AMBASADOR — Ma pan na myśli...

PEŁNOMOCNIK — No, tak w ogóle. My zawsze chętnie pomagamy.

AMBASADOR — W razie potrzeby zwracam się raczej do moich przełożonych.

PEŁNOMOCNIK — Pewnie, pewnie. I co, pomagają?

AMBASADOR — Pan wybaczy, ale to są wewnętrzne sprawy ambasady.

PEŁNOMOCNIK — Co panu się stało w rękę?

AMBASADOR — W rękę?

PEŁNOMOCNIK — Pan ją ciągle chowa. Tę lewą.

Ambasador wyciąga rękę zza pleców i ogląda ją, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

AMBASADOR — A, rzeczywiście.

Pełnomocnik pochyla się ku niemu, dotyka jego rękawa.

PEŁNOMOCNIK — Mankiecik puścił, co? Trzeba mieć guziki. Dobrze przyszyty guzik trzyma lepiej niż spinka.

AMBASADOR — Ja wolę spinki.

PEŁNOMOCNIK — Ale spinki się gubią.

AMBASADOR — Niestety.

PEŁNOMOCNIK — Proszę, pan zgubił spinkę i ma pan zmartwienie. Rozumiem, państwowa sprawa, prestiż, reprezentacja... Bardzo dobrze rozumiem. U nas też takie rzeczy się zdarzają, po koleżeńsku panu mówię, tylko między nami. Ot, u nas jednemu generałowi opadły spodnie podczas defilady.

AMBASADOR — Co pan powie?

PEŁNOMOCNIK — Tak, na samym środku placu, kiedy prowadził defiladę, na czele wojsk. W obecności rządu i całego korpusu dyplomatycznego, nie mówiąc o ludności.

AMBASADOR — To przykre. I co?

PEŁNOMOCNIK — Zastrzelił się jeszcze tego samego dnia.

AMBASADOR — Podziwiam tak wysoko rozwinięte poczucie honoru.

PEŁNOMOCNIK — No, niezupełnie sam. Myśmy mu pomogli. A pańscy przełożeni, na przykład, czy mogliby panu pomóc?

AMBASADOR — Nie, przyznaję. Przynajmniej nie w ten sposób.

PEŁNOMOCNIK — Ja nie mówię, żeby od razu w ten sposób. Ale czy oni mogą panu pomóc... Ot, choćby znaleźć tę spinkę, którą pan zgubił?

AMBASADOR — Nie zwracałem się do nich w tej sprawie.

PEŁNOMOCNIK — I słusznie, bo i tak by nie pomogli. Oni panu nawet w takiej głupiej sprawie nie mogą pomóc, prawda?

AMBASADOR — W tej sprawie chyba nie, nie sądzę.

PEŁNOMOCNIK — Widzi pan? A ja mogę.

AMBASADOR — O, proszę się nie trudzić.

PEŁNOMOCNIK — Wcale nie muszę się trudzić. Nawet nie muszę wstawać z miejsca. Ja wiem, gdzie ona jest.

AMBASADOR — Pan wie, gdzie jest moja spinka, którą zgubiłem, jeszcze zanim pan tutaj przyszedł?

PEŁNOMOCNIK — Wiem.

AMBASADOR — Trudno uwierzyć.

PEŁNOMOCNIK — Założy się pan ze mną?

AMBASADOR — A więc gdzie?

PEŁNOMOCNIK — W koszu na papiery koło biurka.

Pauza.

PEŁNOMOCNIK — Nie chce pan sprawdzić?

Ambasador wstaje, podchodzi do biurka, schyla się i wkłada rękę do kosza na śmieci.

AMBASADOR (*wyjmując spinkę z kosza*) — Miał pan rację.

Pełnomocnik wzrusza ramionami z lekceważeniem, jakby przez ten gest chciał powiedzieć: „to dla mnie drobiazg" i wypija swój koniak jednym haustem.

AMBASADOR (*wracając do stolika*) — Skąd pan wiedział?

PEŁNOMOCNIK — Tego nie muszę panu mówić.

AMBASADOR — Rozumiem.

PEŁNOMOCNIK — Dodam tylko, że zgubił pan spinkę o godzinie dziesiątej, dwadzieścia trzy minuty i dwie sekundy. Siedział pan przy biurku, wyciągnął pan rękę, żeby zatelefonować i trrrach, odpięła się, spadła i wpadła, taka jej morda. No i co pan na to?

AMBASADOR — Moje gratulacje.

PEŁNOMOCNIK — Nieźle, co?

AMBASADOR (*wkładając spinkę do mankietu*) — W każdym razie bardzo panu dziękuję. (*siada na fotelu*)

PEŁNOMOCNIK — Nie ma za co. Chciałem tylko panu pokazać, jak rzeczy stoją. My wiemy o was wszystko, a wy? Co wy o nas wiecie?

AMBASADOR — O, my też mamy swoje informacje.

PEŁNOMOCNIK — Na przykład?

AMBASADOR — Na przykład... że jesteście wielkim narodem, który mimo różnic, jakie nas dzielą, pragnie z nami utrzymać stosunki porozumienia i współpracy w imię pokoju i przyjaźni między narodami.

PEŁNOMOCNIK (*zaskoczony*) — Skąd pan to wie...

AMBASADOR — Jak to, skąd. Od was.

PEŁNOMOCNIK — Hmmm...

AMBASADOR — Z waszej prasy, radia i telewizji. Czyżby te wiadomości były fałszywe?

PEŁNOMOCNIK — W zasadzie nie. Ale czy pan zna szczegóły?

AMBASADOR — Na przykład?

PEŁNOMOCNIK — Na przykład, czy pan wie, co ja robiłem dziś rano?

AMBASADOR — Mył pan zęby, mam nadzieję.

PEŁNOMOCNIK — Ale jaką pastą, zieloną czy niebieską?

AMBASADOR — Tego, przyznaję, nie wiem.

PEŁNOMOCNIK — A gdybym panu powiedział, że niebieską?

AMBASADOR — Przyjąłbym do wiadomości.

PEŁNOMOCNIK — Nie, pan by mi uwierzył.

AMBASADOR — Skąd ta pewność?

PEŁNOMOCNIK — Bo wy lubicie wierzyć.

AMBASADOR — Raczej wolimy żywić zaufanie.

PEŁNOMOCNIK — Nie, to nie to. Tylko wy bez wiary jesteście jak dzieci bez cukierka. Smutno wam, gorzko i płakać wam się chce, kiedy nie macie w co wierzyć.

AMBASADOR — Nie mogę zaprzeczyć, że indywidualnie to się zdarza. Sam znam jeden taki wypadek...

PEŁNOMOCNIK — Ale nie martwcie się. Zawsze się ktoś znajdzie, kto was poczęstuje...

AMBASADOR — Wy?

PEŁNOMOCNIK — Choćby i my. Dlaczego nie? My jesteśmy dobrzy, my mamy miękkie serca, nie lubimy patrzeć, jak dzieci się męczą. A słodyczy mamy pełne kieszenie.

AMBASADOR — Dlaczego pan mi to mówi?

PEŁNOMOCNIK — A dlaczego nie?

AMBASADOR — Nie obawia się pan, że odsłania pan w ten sposób — powiedzmy — waszą metodę? Inaczej mówiąc, że mnie pan ostrzega?

PEŁNOMOCNIK — Ani trochę. Natura jest silniejsza od rozumu. Będziecie nam wierzyć tak czy siak, z ostrzeżeniem czy bez ostrzeżenia. Wy bez wiary żyć nie możecie, a pogadać ja sobie lubię.

AMBASADOR — Jedno z tych dwóch stwierdzeń nie ulega najmniejszej wątpliwości.

PEŁNOMOCNIK — Szczerość, szczerość przede wszystkim, to jest zasada naszej dyplomacji. No, ale właśnie ja tu z panem gadu-gadu, a tymczasem mam panu wręczyć prezent.

AMBASADOR — Bardzo mi miło, ale nie przyjmuję prezentów.

PEŁNOMOCNIK — Dar naszego wielkiego narodu dla waszego wielkiego narodu.

AMBASADOR (*wstając*) — A, jeżeli to oficjalnie...

PEŁNOMOCNIK — Jeszcze jak oficjalnie! (*wstaje*) Inicjatywa naszej najwyższej instancji osobiście przez nią samą zatwierdzona. Jestem delegowany celem przekazania małego upominku waszemu rządowi od naszego rządu.

AMBASADOR — Czy to jakiś drobiazg? Ma go pan przy sobie?

PEŁNOMOCNIK — Nie, zostawiłem w przedpokoju.

Scena 5

Pełnomocnik klaszcze w dłonie trzykrotnie. Z lewej strony wchodzą dwaj generałowie w galowych mundurach z białymi akselbantami, w wysokich, okrągłych czapkach z daszkiem. Przy pomocy dwóch drążków (na zasadzie noszy) niosą wielką, jasnoniebieską kulę o średnicy co najmniej półtora metra osadzoną na białym, sześciennym, rzeźbionym postumencie, ozdobionym białymi gołąbkami. Generałowie stawiają kulę na środku sceny, prostują się, odwracają ku Pełnomocnikowi i Ambasadorowi, stojąc na baczność — salutują, po czym schylają się znowu, wyjmują kije z zaczepów i wychodzą na lewo niosąc kije w taki sam sposób, jak kiedy wchodzili. Wszystkie ich czynności i poruszenia opracowane są rytmicznie, sprawiają wrażenie prawie baletu, takie jakie sprawia czasami musztra wojskowa, na przykład paradna zmiana warty honorowej.

Scena 6

PEŁNOMOCNIK — Podoba się panu?

Ambasador zaczyna w milczeniu obchodzić postument i kulę na nim osadzoną — dookoła, przyglądając się kuli.

Pauza.

AMBASADOR — Wspaniałe.

PEŁNOMOCNIK — Prawda?

AMBASADOR — Imponujące.

PEŁNOMOCNIK — No nie?

AMBASADOR — Ale co to jest?

PEŁNOMOCNIK — Globus.

AMBASADOR — Globus?

PEŁNOMOCNIK — Nie poznaje pan? I to jaki duży!

AMBASADOR — Owszem, jeśli chodzi o formę...

PEŁNOMOCNIK — Czy coś poza tym nie w porządku?

AMBASADOR — Nie, nie, skądże. Tylko...

PEŁNOMOCNIK — Niech pan mówi śmiało.

AMBASADOR — Jeśli to jest globus, czyli kula ziemska, to czegoś jej brakuje.

PEŁNOMOCNIK — Gdzie?

AMBASADOR — Wszędzie. Brakuje Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk.

PEŁNOMOCNIK — Niemożliwe.

AMBASADOR — Przecież to widoczne. Nie widzi pan?

PEŁNOMOCNIK — Widzę.

AMBASADOR — I co, gdzie są kontynenty?

PEŁNOMOCNIK — Nie ma.

AMBASADOR — A więc?

PEŁNOMOCNIK — Ale to nie znaczy, że czegoś brakuje.

AMBASADOR — Jak to?

PEŁNOMOCNIK — Kiedy taki przysłali, to znaczy, że taki ma być. Niemożliwe, żeby czegoś brakowało.

AMBASADOR — Aha, to znaczy nie ma, ale nie brakuje.

PEŁNOMOCNIK — O, właśnie, dobrze pan to ujął.

AMBASADOR — A jednak, zgodnie z moimi informacjami, na kuli ziemskiej znajdują się kontynenty.

PEŁNOMOCNIK — Zaraz to wyjaśnimy. Czy mogę zatelefonować?

AMBASADOR — Proszę bardzo.

Pełnomocnik podchodzi do telefonu, nakręca numer.

PEŁNOMOCNIK — Z Prezydium Rady Najwyższej. (*pauza*) Mikołaj? Tu Piotruś. Jak się czujesz? (*ogląda się na Ambasadora i osłania słuchawkę dłonią tak, żeby głos w słuchawce był słyszalny tylko dla niego samego*) No, jako tako. Słuchaj, tu są reklamacje... Co?... Nie, nie, podoba mu się, tylko mówi, że mu czegoś brakuje. Europy, Azji, Afryki... Co? Aha... Europa... Tak, rozumiem. Afryka też?.... Aha... A co z Azją?... Później? Dobrze, powiem mu. No, to na razie.

Kładzie słuchawkę na widełki aparatu i zwraca się do Ambasadora.

PEŁNOMOCNIK — Wszystko w porządku, nie ma żadnej omyłki.

AMBASADOR — A gdzie są kontynenty?

PEŁNOMOCNIK — W opracowaniu.

AMBASADOR — To znaczy?

PEŁNOMOCNIK — Jeszcze nie gotowe. Dopiero nad nimi pracujemy. Jak skończymy — ogłosimy.

AMBASADOR — A teraz ich nie ma? Na kuli ziemskiej nie ma kontynentów?

PEŁNOMOCNIK — Są, ale tylko geograficznie rzecz biorąc.

AMBASADOR — Czy to nie wystarczy?

PEŁNOMOCNIK — Nie, ponieważ politycznie nie są jeszcze całkiem takie jak trzeba.

AMBASADOR — Chce pan przez to powiedzieć, że geofizyka nie wystarczy, aby sporządzić globus?

PEŁNOMOCNIK — Nie, ponieważ polityka jest ważniejsza od geofizyki. Polityka jest ważniejsza od wszystkiego.

AMBASADOR — Zaś aktualne ukształtowanie polityczne naszego globu jest niewłaściwe, jeżeli dobrze rozumiem.

PEŁNOMOCNIK — O, właśnie.

AMBASADOR — Ale z jakiego punktu widzenia?

PEŁNOMOCNIK — Z obiektywnego.

AMBASADOR — Co to znaczy?

PEŁNOMOCNIK — To znaczy z punktu widzenia praw materializmu historycznego, dialektyki historycznej i historii dialektycznej, według których dokonuje się nieuchronny proces historyczny.

AMBASADOR — Czy to jest wasz punkt widzenia?

PEŁNOMOCNIK — Oczywiście.

AMBASADOR — A więc jednak jest to punkt widzenia subiektywny.

PEŁNOMOCNIK — Obiektywnie subiektywny, ale jako subiektywny jednak obiektywny. To wy macie punkt widzenia obiektywnie subiektywny, ale jako subiektywny nieobiektywny.

AMBASADOR — A to dlaczego?

PEŁNOMOCNIK — Ponieważ z naszego, obiektywnie subiektywnego, ale subiektywnie jednak obiektywnego punktu widze-

nia — wasz punkt widzenia jest błędny, czyli nieobiektywny, jako sprzeczny z naszym punktem widzenia.

AMBASADOR — Aha. To nieco skomplikowane.

PEŁNOMOCNIK — Ale dialektyczne.

AMBASADOR — Lecz nawet jeżeli przyjmiemy, że istniejąca wersja świata jest niezadowalająca, oczywiście z waszego punktu widzenia...

PEŁNOMOCNIK — Z obiektywnego.

AMBASADOR — Niech będzie. Nawet jeżeli nie jest taka, jak być powinna, według was...

PEŁNOMOCNIK — Według nieuchronnych praw rozwoju historii.

AMBASADOR — Niech będzie. To jednak ta obecna wersja istnieje, a więc można i należałoby uwzględnić ją na globusie.

PEŁNOMOCNIK — Bynajmniej.

AMBASADOR — Ależ dlaczego?

PEŁNOMOCNIK — Bo liczy się tylko to, co być powinno, a nie to, co jest. Nasza przewaga nad wami na tym właśnie polega, że wy tylko wiecie, jak świat wygląda, a my wiemy, jak powinien wyglądać. Wy nie macie żadnej perspektywy. Zajmujecie się światem na bieżąco, a my przygotowujemy jego wersję w przyszłości, ostateczną wersję świata.

AMBASADOR — I jakiż to ma być świat...

PEŁNOMOCNIK — Idealny.

AMBASADOR — Ależ skąd pewność, że świat, jaki chcecie urządzić, będzie lepszy od tego, jaki jest?

PEŁNOMOCNIK — Stąd, że my to robimy bezinteresownie.

AMBASADOR (*zaskoczony*) — Proszę?

PEŁNOMOCNIK — Tak. My przerabiamy ludzkość, ponieważ ją kochamy, a nie dlatego, że mamy w tym jakiś interes. A więc świat, który stworzymy, będzie owocem miłości do ludzkości, czyli światem piękna, dobra i prawdy. To będzie całkiem nowy, wspaniały świat.

GŁOS *(który nie jest głosem Ambasadora, a tym bardziej Pełnomocnika — i nie wiadomo jeszcze skąd pochodzi)* — Na pomoc!

PEŁNOMOCNIK — Pan coś mówił?

AMBASADOR — Nie, to pan przemawia.

PEŁNOMOCNIK — Najlepszym ze wszystkich możliwych światów, lepszego nigdy już potem nie będzie. Cała nasza polityka zmierza wyłącznie ku...

GŁOS — Ratuuunku!

PEŁNOMOCNIK — A jednak mi pan przerywa.

AMBASADOR — Nie ośmieliłbym się...

GŁOS — Ludzie, ratuuujcie!

AMBASADOR — Nawet gdybym był brzuchomówcą.

PEŁNOMOCNIK — To nie pan wołał?

Ambasador zbliża się do kuli i przykłada do niej ucho. Przywa Pełnomocnika ruchem ręki, żeby uczynił to samo. Pełnomocnik również przykłada ucho do kuli. Przez chwilę nasłuchują, Pełnomocnik z lewej strony kuli, Ambasador z prawej.

Scena 7

Nagle wierzch kuli pęka i ukazuje się głowa człowieka, twarzą zwrócona ku widowni — jak głowa pisklęcia z jajka. Byłoby najlepszym efektem, gdyby człowiek przebił głową powierzchnię kuli od wewnątrz i w ten sposób się ukazał. Gdyby z przyczyn technicznych to okazało się niemożliwe, albo nie w pełni udane, wtedy niech glob pęknie w połowie, wzdłuż linii równika, górna połowa globu odskoczy, odpadnie, a człowiek ukaże się jako popiersie ponad krawędzią dolnej półkuli. Autor zaleca jednak przede wszystkim pierwsze rozwiązanie.

Człowiek wygląda na lat około czterdzieści, nie ogolony od kilku dni, raczej jasno- niż ciemnowłosy, bardzo krótko ostrzyżony, w małych, okrągłych okularach w drucianej oprawie. Ambasador i Pełnomocnik odskakują od kuli. Człowiek zwraca głowę najpierw w lewo, patrząc na Pełnomocnika, potem w prawo, patrząc na Ambasadora.

Po chwili Ambasador odwraca się od kuli, idzie na prawo i staje koło stolika z alkoholami. Bierze butelkę ze stolika, odwraca się do człowieka w kuli.

AMBASADOR (*z butelką w ręce*) — Martini czy sherry?

CZŁOWIEK — Azylu!

AMBASADOR — Czego?

CZŁOWIEK — Proszę o azyl!

AKT II

Scena 1

Z boku koło biurka stoi pierwszy sekretarz ambasady, Otello.

AMBASADOR — Proszę mnie natychmiast połączyć z kancelarią Prezydenta.

OTELLO — Sir.

AMBASADOR — Pragnę rozmawiać z Prezydentem osobiście.

OTELLO — Sir?

AMBASADOR — W sprawie globalnej.

OTELLO — Sir.

Otello wychodzi na lewo.

Scena 2

AMBASADOR (*biorąc do ręki arkusz zapisanego papieru*) — ...A więc pracował pan w państwowej fabryce globusów i skorzystał pan ze sposobności, żeby się ukryć w globusie przeznaczonym dla naszej ambasady. Twierdzi pan, że był to jedyny sposób przedostania się na nasze terytorium. Do tej pory wszystko jest jasne. Pozostaje nam wyjaśnić pańskie motywy. Dlaczego pan prosi o azyl?

CZŁOWIEK — Dla pana Ambasadora to nie jest jasne?

AMBASADOR — Niezupełnie. Właściwie — dlaczego pan chce stąd wyjechać?

CZŁOWIEK — Bo jestem tutejszy.

AMBASADOR — To już pan stwierdził w zeznaniu, które pan złożył na ręce mojego sekretarza. I to właśnie mi nie wystarcza. Muszę poznać szczegóły, zanim podejmę decyzję. Dlaczego pan prosi o azyl?

CZŁOWIEK (*wzdychając*) — Ale co ja mogę panu więcej powiedzieć...

AMBASADOR — Ma pan u nas jakichś krewnych?

CZŁOWIEK — Nie.

AMBASADOR — Przyjaciół?

CZŁOWIEK — Nie.

AMBASADOR — Znajomych choćby?

CZŁOWIEK — Nie mam.

AMBASADOR — Właśnie. Krewnych, przyjaciół i znajomych ma pan tutaj. A jednak chce pan ich porzucić i udać się do innego kraju, gdzie nie ma pan nikogo.

CZŁOWIEK — Tak jest.

AMBASADOR — Ależ to trudno zrozumieć.

CZŁOWIEK — Oni też by chcieli wyjechać, ale nie mogą.

AMBASADOR — I nie żal panu krajobrazów pańskiego dzieciństwa?

CZŁOWIEK — Ja już nie jestem dziecko.

AMBASADOR — Dobrze. Jest pan dorosły. Zarabia pan na swoje utrzymanie. Tutaj ma pan pracę, przyszłość zapewnioną. Czy pan zdaje sobie sprawę, że na emigracji będzie panu ciężko?

CZŁOWIEK — Mnie nic nie trzeba.

AMBASADOR — A więc spróbujmy z innej strony. Jest pan obywatelem kraju, który postawił sobie ambitne zadanie stworzenia nowej rzeczywistości, nowego, lepszego świata. Jakiekolwiek są nasze zastrzeżenia, nie można zaprzeczyć, że jest to szlachetna intencja. Nie można negować, że wynika ona z ideałów. Nie można twierdzić, że te ideały nie są godne uznania, jeżeli nie poparcia. Tego nie można nie doceniać, a w każdym razie... (*pauza*) Co się pan tak na mnie patrzy? (*pauza*) No, mniejsza z tym. Ja chciałem tylko zapytać, czy pan nie chce brać udziału... w tym... Jak to się u was nazywa?

CZŁOWIEK — Budowa lepszego jutra.

AMBASADOR — O, właśnie. Nie chce pan?

CZŁOWIEK — Nie.

AMBASADOR — Jest pan przeciwnikiem lepszego jutra?

CZŁOWIEK — Też nie.

AMBASADOR — Więc nie pojmuję, o co właściwie panu chodzi.

CZŁOWIEK — O duszę.

AMBASADOR — Duszę?

CZŁOWIEK — Pan Ambasador nie wie, co to jest dusza?

Pauza.

AMBASADOR — Niech pan mówi dalej.

CZŁOWIEK — Już powiedziałem.

AMBASADOR — Ale nie na temat! Co dusza ma wspólnego z pańską sytuacją.

CZŁOWIEK — Oni nie pozwalają mieć duszy.

AMBASADOR — Nie jestem teologiem, ale wydaje mi się, że władze świeckie nie mają żadnego wpływu na fakt posiadania, czy też nieposiadania duszy.

CZŁOWIEK — Właśnie. Nie mają.

AMBASADOR — A więc?

CZŁOWIEK — I dlatego właśnie oni za to biją.

AMBASADOR — Za co?

CZŁOWIEK — Za to, że się ma duszę.

AMBASADOR — Kogo biją...

CZŁOWIEK — Tego, kto ma duszę, chociaż oni na to nie pozwalają.

AMBASADOR — Aha, zaczynam rozumieć. A pan ma duszę?

CZŁOWIEK — Mam.

Pauza.

AMBASADOR — A nie może jej pan mieć, że tak powiem, prywatnie?

CZŁOWIEK — Co to znaczy...

AMBASADOR — No tak, żeby nikt nie wiedział.

CZŁOWIEK — Panie Ambasadorze, oni bardzo dobrze wiedzą, kto ma duszę, a kto nie.

AMBASADOR — Czyżby?

CZŁOWIEK — Oni wiedzą wszystko.

AMBASADOR (*wzdychając*) — To prawda.

CZŁOWIEK — I dlatego ja chcę emigrować.

AMBASADOR — Nie jestem pewien, czy ten argument jest wystarczający.

CZŁOWIEK — Jak to....

AMBASADOR — To znaczy, czy na podstawie takiej motywacji mogę udzielić panu azylu. Dusza... rozumie pan...

CZŁOWIEK — Dusza nie wystarczy?

AMBASADOR — Wszystko zależy od tego, czy uznamy istnienie duszy za fakt obiektywny. Załóżmy, że ja uznam. Ale moi zwierzchnicy? Prosi mnie pan o azyl w nieodpowiednim momencie. Akurat wtedy, kiedy nam zależy na przyjaznych stosunkach z rządem pańskiego kraju. W tej sytuacji istnienie duszy może budzić poważne wątpliwości.

Z lewej strony wchodzi Otello.

Scena 3

OTELLO — Prezydent nie odpowiada.

AMBASADOR — To niemożliwe.

OTELLO — Sir, czy poddaje pan w wątpliwość moje kwalifikacje, czy moją prawdomówność?

AMBASADOR — Musi być odpowiedź.

OTELLO — Ale nie ma.

AMBASADOR — Zaraz... Czy nie ma odpowiedzi, czy nie ma połączenia?

OTELLO — Ponieważ nie ma odpowiedzi, trudno ustalić, czy jest połączenie. A jeżeli nie ma połączenia, nie może być odpowiedzi. Empirycznie rzecz biorąc — nie ma jednego i drugiego.

AMBASADOR — Niech pan spróbuje jeszcze raz.

OTELLO — Sir. (*wychodzi na lewo*)

Scena 4

CZŁOWIEK — Panie Ambasadorze, ja chciałbym...

AMBASADOR — Drogi przyjacielu. Bardzo żałuję, ale obawiam się, że w tej chwili i w tej sytuacji nie mogę panu pomóc.

CZŁOWIEK — Mnie teraz nie o to chodzi. Ja chciałem tylko zapytać.. Czy pan wierzy w Boga?

Pauza.

Ambasador wstaje i wychodzi zza biurka. Odtąd będzie się to przechadzał, to przystawał, podczas kiedy Człowiek w dalszym ciągu siedzi na krześle.

AMBASADOR — Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

CZŁOWIEK — A czy pan wierzy w prezydenta?

AMBASADOR — W jakim sensie...

CZŁOWIEK — Czy pan wierzy w swojego prezydenta, w swój rząd.

AMBASADOR — A jednak wszystko zależy od tego, co pan ma na myśli. Czy wierzę, że prezydent istnieje, czy też w sensie: czy mam do niego zaufanie?

CZŁOWIEK — Czy pan wierzy, że prezydent jest. Całkiem zwyczajnie. Że prezydent istnieje.

AMBASADOR — Co za pytanie! Oczywiście, że jest, że istnieje.

CZŁOWIEK — A skąd pan wie?

AMBASADOR — Zadaje mi pan coraz dziwniejsze pytania.

CZŁOWIEK — Przecież tu go nie ma. (*zatacza krąg ruchem ręki*) Ani tu, ani w okolicy. Jak okiem sięgnąć nie ma ani pańskiego prezydenta, ani pańskiego rządu.

AMBASADOR — Oczywiście. Ale to nie znaczy, że prezydent i rząd nie istnieją gdzie indziej.

CZŁOWIEK — Gdzie?

AMBASADOR — Jak to, gdzie.

CZŁOWIEK — No właśnie, gdzie?

AMBASADOR — W moim, w naszym kraju, oczywiście.

CZŁOWIEK — I pan w to wierzy?

AMBASADOR — Odległość nie gra żadnej roli. Prezydent komunikuje się z nami.

CZŁOWIEK — To znaczy, że wierzy pan w objawienie.

AMBASADOR — Stawia pan całą sprawę zupełnie niewłaściwie. Objawienie jest komunikacją tylko w jedną stronę, czyli nie jest wcale komunikacją, ponieważ pojęcie komunikacji zakłada *feed-back*. Objawienie jest komunikacją jednostronną, od Boga ku ludziom, przy tym, żeby wierzyć w objawienie, trzeba wierzyć w Boga, a z kolei, żeby wierzyć w Boga, trzeba wierzyć w objawienie, czyli błędne koło. Nie mamy absolutnie żadnych

dowodów na to, że nasze depesze dochodzą do Boga, ponieważ nie mamy potwierdzenia odbioru. Czyli nie mamy dowodów na istnienie Boga. Natomiast z prezydentem komunikujemy się obustronnie.

CZŁOWIEK — Ale pan musi wierzyć w prezydenta...

AMBASADOR — Właśnie panu tłumaczę, że to nie jest kwestia wiary.

CZŁOWIEK — A gdyby to była kwestia wiary.

AMBASADOR — Pan jest bardzo uparty. No więc dobrze, załóżmy. To co wtedy?

CZŁOWIEK — Wtedy pan musi wierzyć w prezydenta, żeby być ambasadorem.

AMBASADOR — Oczywiście.

CZŁOWIEK — A ja muszę wierzyć w Boga, żeby być człowiekiem.

Z lewej strony wchodzi Otello.

Scena 5

AMBASADOR — Jaka odpowiedź?

OTELLO — W dalszym ciągu nie ma żadnej, Sir.

AMBASADOR — Jest pan tego pewien?

OTELLO — Sir.

AMBASADOR — Dobrze już, dobrze, nie chciałem pana urazić. Ale to może jakiś defekt w urządzeniach komunikacyjnych. Czy nasze urządzenia działają należycie? Czy je sprawdzono?

OTELLO — Sprawdzono, Sir. Działają bez zarzutu.

AMBASADOR — Na pewno?

OTELLO — Nasze urządzenia komunikacyjne działają doskonale, choć bez skutku.

AMBASADOR — W takim razie...

Pauza.

OTELLO — Sir?

Pauza.

AMBASADOR — Proszę wezwać natychmiast przedstawiciela miejscowego rządu.

OTELLO — Nie trzeba, Sir.

AMBASADOR — Pan kwestionuje moją decyzję?

OTELLO — Bynajmniej, Sir. Jeżeli stwierdziłem, że nie trzeba, to miałem na myśli tylko fakt, że nie trzeba wzywać przedstawiciela miejscowego rządu.

AMBASADOR — Pan się powtarza.

OTELLO — Ponieważ przedstawiciel miejscowego rządu jest już na miejscu.

AMBASADOR — To znaczy gdzie?

OTELLO — Tutaj, w ambasadzie. Właśnie przybył i domaga się, żeby pan Ambasador natychmiast go przyjął.

Z lewej strony wchodzi Pełnomocnik. Na jego widok — człowiek wstaje.

Scena 6

PEŁNOMOCNIK — Pragnę zaprotestować...

AMBASADOR — O, nie. To ja pragnę zaprotestować.

PEŁNOMOCNIK — Pragnę zaprotestować na osobności.

AMBASADOR (*do sekretarza i zbiega*) — Panowie zostawią nas samych.

Sekretarz i zbieg wychodzą na lewo.

Scena 7

PEŁNOMOCNIK — Pragnę zaprotestować przeciwko bezprawnemu zatrzymaniu naszego obywatela w waszej ambasadzie.

AMBASADOR — Ależ my go wcale nie zatrzymujemy.

PEŁNOMOCNIK — To jest pogwałcenie jego wolności osobistej!

AMBASADOR — On sam chce tutaj zostać.

PEŁNOMOCNIK — My wiemy lepiej, czego on chce.

AMBASADOR — Lepiej niż on sam?

PEŁNOMOCNIK — Oczywiście. On ma tylko świadomość indywidualną, a my kolektywną. Wobec naszej świadomości jego świadomość jest ograniczona.

AMBASADOR — To jest rzecz do dyskusji.

PEŁNOMOCNIK — I dlatego pan go natychmiast nam wyda.

AMBASADOR — Teraz już nie.

PEŁNOMOCNIK — Co to znaczy — teraz.

AMBASADOR — Teraz, kiedy pan zapomina, że tutaj ja decyduję.

Pauza.

PEŁNOMOCNIK — Dobrze. Wobec tego pomówimy inaczej. (*siada na fotelu i wskazuje na drugi fotel*) Niech pan siada.

AMBASADOR — O, nie. To raczej ja pana mogę zaprosić, żeby pan usiadł.

PEŁNOMOCNIK — Ale ja już siedzę.

AMBASADOR (*krzyczy*) — Wobec tego niech pan wstanie!

Pauza.

Pełnomocnik wstaje powoli.

AMBASADOR (*uprzejmie*) — A teraz niech pan siada. (*Pełnomocnik siada. Ambasador również*) Słucham pana.

PEŁNOMOCNIK — Pan nie ma prawa udzielić mu azylu.

AMBASADOR — A to dlaczego.

PEŁNOMOCNIK — Ponieważ ten człowiek jest przestępcą, a prawo azylu nie dotyczy przestępców.

AMBASADOR — Na czym polega jego zbrodnia?

PEŁNOMOCNIK — Nasz ustrój jest najlepszy na świecie. Ta wyższość stwierdzona jest i zatwierdzona przez naszą konstytucję, przez nią prawnie zagwarantowana. Uciekając od nas do was, ten osobnik wykazuje tym samym, że woli was od nas, czyli łamie prawo naszej absolutnej wyższości. A więc występuje przeciwko prawu. Gwałci prawo, czyli jest przestępcą. Żądam wydania przestępcy.

AMBASADOR — A ja go nie wydam.

PEŁNOMOCNIK — Nie?

AMBASADOR — Nie.

PEŁNOMOCNIK — A właściwie dlaczego nie?

AMBASADOR — Pan tego nie rozumie?

PEŁNOMOCNIK — Ja rozumiem, że nie, ale nie rozumiem dlaczego nie. Właściwie, co by panu szkodziło — wydać go.

AMBASADOR — Sądzę, że to by zaszkodziło raczej jemu.

PEŁNOMOCNIK — Właśnie. A czy on panu brat albo swat? Co panu właściwie na nim zależy? A teraz spójrzmy na to z drugiej strony. Jeżeli pan go nie wyda — będą kłopoty.

AMBASADOR — Jakie?

PEŁNOMOCNIK — Zacznijmy od najmniejszych. Gniew ludu, manifestacja przed ambasadą...

AMBASADOR —To już było. Nie raz.

PEŁNOMOCNIK — Ale nie w takim stopniu jak być może. Dotychczas zawsze byliśmy w stanie opanować gniew naszego ludu, ale nie ręczę, że nam się to uda następnym razem.

AMBASADOR — Co dalej?

PEŁNOMOCNIK — Następnie może się pogniewać nasz rząd. A wasz rząd bardzo nie lubi, kiedy nasz rząd się gniewa. Wobec tego wasz rząd może się pogniewać na pana.

AMBASADOR — Myślę, że to nasz rząd ma obecnie powody, żeby się pogniewać na wasz rząd.

PEŁNOMOCNIK — Owszem, ale takie powody ma już od dawna i nigdy jakoś się nie gniewa.

AMBASADOR — Tym razem jednak będzie musiał. Wasze ostatnie posunięcie zmusi nasz rząd do podjęcia najostrzejszych środków.

PEŁNOMOCNIK — Nasze ostatnie posunięcie? Co pan ma na myśli...

AMBASADOR — Pan wie doskonale.

PEŁNOMOCNIK — Daję słowo, że nie wiem. Czyżbyśmy zrobili coś nowego?

AMBASADOR — Właśnie.

PEŁNOMOCNIK — Czy możliwe, żeby wymyślili coś beze mnie? (*coraz bardziej zaniepokojony*) Coś całkiem nowego? Bez mojej wiedzy? (*wstaje*) Pan pozwoli, że zatelefonuję...

AMBASADOR (*wstaje*) — Pragnę złożyć stanowczy, kategoryczny i jak najdalej idący protest przeciwko uniemożliwieniu komunikacji między naszą ambasadą a naszym rządem. To jest pogwałcenie podstawowych umów, tylko o jeden krok od aktu wypowiedzenia wojny.

PEŁNOMOCNIK — Co takiego?

AMBASADOR — Wasza służba dywersyjna uniemożliwiła wszelką łączność między mną a moim krajem macierzystym. Skutki takiego posunięcia mogą być nieobliczalne.

PEŁNOMOCNIK — Nasza służba?

AMBASADOR — Myślę, że wobec powagi sytuacji sprawa uciekiniera odchodzi na plan dalszy.

Pauza.

PEŁNOMOCNIK — Niech pan mi da czegoś się napić.

AMBASADOR — Myślę, że wobec powagi sytuacji nasze stosunki powinny pozostać wyłącznie oficjalne.

Pełnomocnik przechodzi na prawo, do stolika barowego. Nalewa sobie pełną szklankę koniaku, wypija od razu, nalewa ponownie i ze szklanką w ręce wraca na lewo. Siada, medytuje, nie zwraca uwagi na Ambasadora, nie patrzy nawet na niego.

AMBASADOR — W dalszym ciągu oczekuję daremnie pańskiej reakcji.

Pełnomocnik wypija pół szklanki. W dalszym ciągu nie patrzy nawet na Ambasadora.

PEŁNOMOCNIK — Panie kolego, czy jesteśmy sami?

AMBASADOR — Jak pan widzi.

PEŁNOMOCNIK — To, co widzę, to jeszcze nic nie znaczy. Czy nikt nas nie podsłuchuje?

AMBASADOR — Na to pytanie umie pan odpowiedzieć lepiej ode mnie.

PEŁNOMOCNIK — Nie chodzi o nasze mikrofony, ale o wasze. Czy nikt z pańskiego personelu pana nie kontroluje? Pański sekretarz, na przykład...

AMBASADOR (*z urażoną godnością*) — Szanowny panie!

PEŁNOMOCNIK — Bez urazy. To, co powiem, przeznaczone będzie tylko dla pana.

AMBASADOR — O, nie. Przede wszystkim dla mojego rządu. Uprzedzam, że przekażę każde pańskie słowo.

PEŁNOMOCNIK — Jak pan przekaże, kiedy pan nie może przekazywać? A wie pan, dlaczego pan już nie może?

AMBASADOR — Ponieważ wy przeszkadzacie.

PEŁNOMOCNIK — Nonsens. Dlaczego mielibyśmy to robić? Jaki moglibyśmy mieć w tym interes? Podsłuchiwać to co innego, ale przerywać wasze rozmowy? To by nawet było wbrew naszym interesom. Wtedy nie mielibyśmy nic do podsłuchiwania.

AMBASADOR — A jednak nie znajduję innego wytłumaczenia.

PEŁNOMOCNIK — Jeżeli pan nie może się porozumieć ze swoim rządem, to nie dlatego, że my wam przeszkadzamy. Ale dlatego, że waszego rządu już nie ma.

AMBASADOR — Jak to mam rozumieć...

PEŁNOMOCNIK — Dosłownie. Wasz rząd się skończył, zniknął, rozlał się, przepadł... Nikt panu nie odpowiada, ponieważ już nie ma kto panu odpowiadać. Wszystko, co zostało z pańskiego rządu, to tylko pan i pańska ambasada tutaj. Jest pan sam, sam. Czy teraz pan rozumie?

Pauza.

AMBASADOR — Rewolucja?

PEŁNOMOCNIK — Jaka tam rewolucja, u was nie może być żadnej rewolucji i pan o tym wie najlepiej. Rewolucja może być tylko tam, gdzie rząd nie jest ani za słaby, ani za silny. Tam, gdzie rząd jest słaby — rewolucja nie jest potrzebna, jak u was. A tam, gdzie rząd jest silny — rewolucja nie jest możliwa, jak u nas. Wasz rząd sam się zlikwidował.

Pauza.

Ambasador siada.

AMBASADOR — Jak?

PEŁNOMOCNIK — Według znanego prawa, że silni się wzmacniają, a słabi słabną. Na sile można przybierać w nieskończoność, ale jak długo można słabnąć? Tylko do zaniku. Wasz rząd popełnił tę właśnie pomyłkę: wam się wydawało, że można słabnąć bez końca, a jednak istnieć.

AMBASADOR — To niemożliwe, żeby mój kraj przestał istnieć, fizycznie niemożliwe. Mój kraj nie jest mniejszy od waszego, to cały kontynent.

PEŁNOMOCNIK — Kraj został, ale państwo zniknęło. W ten sposób wasze państwo sprawiło waszym obywatelom ostateczną i ostatnią przyjemność — zlikwidowało się. Wasz rząd, wasi politycy, wasi prezydenci mieli tylko jedną doktrynę: przypodobać się obywatelom, przypochlebić wyborcom. A jak rząd może spodobać się obywatelom najbardziej? Tylko ograniczając swoje prerogatywy, istniejąc jak najmniej, w końcu udając, że go w ogóle nie ma. I wasz rząd tak długo uprawiał tę politykę, aż doprowadził ją do krytycznego momentu, od którego już nie miał odwrotu. Od tego momentu wasz rząd nie mógł już dalej tylko udawać, że go nie ma, teraz już musiał nie być naprawdę. Czyli zniknąć. I zniknął.

AMBASADOR — Ale obywatele...

PEŁNOMOCNIK — Obywateli u was także już nie ma. Nie ma obywateli, ponieważ nie ma państwa. Pozostał tylko obszar i jego mieszkańcy, którzy przestali być obywatelami, czyli ludność. Przestrzeń geograficzna, flora i fauna. Znowu jak przed tysiącem lat.

AMBASADOR — Nie wierzę panu. Nie!

PEŁNOMOCNIK — Nie. Wobec tego dam panu ostateczny dowód, że was już nie ma.

Pełnomocnik wstaje, przechodzi parę kroków to w jedną stronę, to w drugą, rozgląda się, jakby sprawdzając, czy naprawdę oprócz Ambasadora i niego samego nie ma w pomieszczeniu nikogo, następnie przysuwa fotel do fotela, na którym siedzi Ambasador i siada naprzeciwko Ambasadora. Wychyla się ku Ambasadorowi, zniża głos.

PEŁNOMOCNIK — Do tej pory mówiłem prywatnie, ale teraz będę mówił jeszcze bardziej prywatnie, najbardziej osobiście. Niech pan posłucha: gdyby u was istniał jeszcze jakiś rząd, jakaś władza, jakiś porządek, to...

Przerywa, rozgląda się i nadsłuchuje, następnie zniża głos jeszcze bardziej.

PEŁNOMOCNIK — Proszę bliżej.

Ambasador nachyla się ku niemu. Pełnomocnik kładzie rękę na ramieniu Ambasadora i jednocześnie zbliża twarz do jego ucha.

PEŁNOMOCNIK (*prawie szeptem*) — Ja sam bym poprosił pana o azyl.

Ambasador wstaje gwałtownie i oddala się. Przystaje w oddaleniu od rozmówcy, zwrócony do niego plecami.

PEŁNOMOCNIK (*głośno*) — Przekonałem pana?

AMBASADOR — Dlaczego pan mi to wszystko mówi dopiero teraz.

PEŁNOMOCNIK — Ja? Czy ja coś powiedziałem?

AMBASADOR — To wszystko o zaniku naszej państwowości, o rozkładzie naszej administracji, o dezintegracji naszego rządu. Dlaczego pan nie powiedział mi o tym wcześniej.

PEŁNOMOCNIK — A, o tym.

Pełnomocnik dopija koniak do dna i stawia szklankę na stole. Ambasador odwraca się i stoi teraz twarzą do Pełnomocnika.

AMBASADOR — Jeżeli moja ambasada jest już fikcją, to dlaczego podtrzymujecie tę fikcję.

PEŁNOMOCNIK — I nadal zamierzamy ją podtrzymywać. Oficjalnie nic się nie zmieniło.

AMBASADOR — Tym bardziej nie rozumiem dlaczego.

PEŁNOMOCNIK — Ponieważ tego wymaga nasza racja stanu.

AMBASADOR — Chyba odwrotnie. Teraz, kiedy wasz przeciwnik zbankrutował, możecie tryumfować, ogłosić ostateczne zwycięstwo.

PEŁNOMOCNIK — To byłoby największym błędem z naszej strony.

AMBASADOR — Czy nie zawsze chodziło wam przede wszystkim o to, żeby nas unicestwić?

PEŁNOMOCNIK — Owszem, ale nie przewidzieliśmy, że to nam się uda. A zwłaszcza że unicestwicie się sami. Nasz tryumf stawia nas w kłopotliwej sytuacji.

AMBASADOR — Wobec kogo?

PEŁNOMOCNIK — Wobec naszych własnych obywateli.

AMBASADOR — Nie widzę żadnego związku.

PEŁNOMOCNIK — Zaraz to panu wyjaśnię. Ludźmi rządzą namiętności, więc żeby rządzić ludźmi, należy rządzić ich namiętnościami. A ponieważ namiętnościami najsilniejszymi i najbardziej powszechnymi, namiętnościami — że tak powiem — pierwszej potrzeby są strach i nienawiść, więc tylko taki rząd, który sprawia, że obywatele boją się i nienawidzą, jest rządem najbardziej demokratycznym.

AMBASADOR — Ciekawy punkt widzenia.

PEŁNOMOCNIK — Co się tyczy strachu, rząd może, a nawet powinien zaspokajać tę namiętność swoich obywateli we własnym zakresie, domowymi — że tak powiem — środkami. Pożyteczne jest nawet, kiedy obywatele boją się swojego rządu. Ale nienawiść należy kierować na zewnątrz. Potrzebny nam jest jakiś inny naród, jakieś inne państwo, żeby nasz naród mógł go nienawidzić pod przewodnictwem naszego państwa. Takim idealnym wrogiem, idealnym przeciwnikiem jesteście dla nas wy.

AMBASADOR — Ale nas przecież już nie ma, jak pan to sam udowodnił przed chwilą.

PEŁNOMOCNIK — Ale kto o tym tutaj wie? Tylko my dwaj. Nasi obywatele nic o tym nie wiedzą i nie dowiedzą się nigdy, jeżeli my im tego nie powiemy. A nie powiemy, bo nie chcemy, z przyczyn przedstawionych powyżej. Oni sami dowiedzieć się nie mogą, bo dzięki naszemu systemowi mogą wiedzieć tylko to, co usłyszą od nas. Wszystko więc pozostanie tak, jak było.

AMBASADOR — Ale to przecież nieprawda, że jesteśmy, jeżeli nas nie ma. Jeżeli prawdą jest to, co mi pan powiedział...

PEŁNOMOCNIK — Przecież tłumaczę panu, że w rzeczywistości was nie ma, ale oficjalnie jesteście. To, że was nie ma w rzeczywistości, ale nie oficjalnie, jest bez żadnego znaczenia. W rzeczywistości jesteście oficjalnie.

AMBASADOR — Ale nie naprawdę.

PEŁNOMOCNIK — A pan jest zupełnie jak dziecko: prawda, nieprawda, naprawdę, nie naprawdę... Niech pan się o to nie martwi, jeżeli nie potrafi pan tego zrozumieć. Niech nam pan to zostawi, my bierzemy wszystko na siebie. Niech pan tylko przyjmie do wiadomości, że wszystko pozostaje bez zmian.

AMBASADOR — A jeżeli ja się nie zgodzę?

PEŁNOMOCNIK — Jak to?

AMBASADOR — Jeżeli ja sam zamknę ambasadę i ogłoszę, że przestaję być ambasadorem, ponieważ nie ma już państwa, które reprezentowałem...

PEŁNOMOCNIK — Tego pan nie zrobi.

AMBASADOR — A to dlaczego.

PEŁNOMOCNIK — Ponieważ to nie leży w pańskim interesie. Przestanie pan być ambasadorem i kim pan będzie? Niczym. I dlaczego właściwie miałby pan już nie być ambasadorem, kiedy my panu w tym wcale nie przeszkadzamy, a przeciwnie, bardzo prosimy?

AMBASADOR — Ponieważ to nie jest możliwe.

PEŁNOMOCNIK — Nie widzę żadnych trudności. Już powiedziałem, że co się tyczy praktycznej strony zagadnienia, my bierzemy wszystko na siebie. Pensje będą wypłacane w dalszym ciągu, tyle że przez nas. Ale o tym pański personel nie musi wiedzieć i nie powinien. My będziemy odbierać pańskie oficjalne depesze i przesyłać panu oficjalne instrukcje — występując jako

wasz rząd, oczywiście. W ten sposób pańscy ludzie niczego się nie domyślą. A nawet, wziąwszy pod uwagę dotychczasowy kurs waszej polityki, nawet nie zauważą, że coś się zmieniło.

AMBASADOR — Ależ ja wtedy nie będę żadnym ambasadorem. Będę tylko... waszym funkcjonariuszem.

PEŁNOMOCNIK — Tak, ale nieoficjalnie.

AMBASADOR — Waszym agentem!

PEŁNOMOCNIK — Tylko prywatnie.

AMBASADOR — Czyli zdrajcą!

PEŁNOMOCNIK (*wstając*) — Niech pan weźmie pod uwagę, że pan już nie ma wobec kogo być lojalnym.

Pauza.

Ambasador odwraca się i odchodzi na prawo. Stoi zwrócony plecami do Pełnomocnika. Z lewej strony wchodzi Otello.

Scena 8

OTELLO — Sir, manifestacja przed ambasadą. Tłum domaga się wydania zbiega.

Ambasador w dalszym ciągu stoi odwrócony i bez ruchu.

Pauza.

OTELLO — Jakie dyspozycje, Sir.

PEŁNOMOCNIK — Wydać go natychmiast.

OTELLO (*do Pełnomocnika*) — Pan pozwoli zwrócić sobie uwagę na fakt, że ja się pana nie pytam o zdanie. Ja się pytam o zdanie mojego ambasadora.

PEŁNOMOCNIK — Proszę bardzo. Niech pan się nie krępuje.

Pełnomocnik wychodzi na lewo.

AKT III

Scena 1

Noc. Scena oświetlona tylko lampą stojącą na biurku. Ambasador siedzi za biurkiem, ramiona złożone na biurku, głowa złożona na ramionach, nieruchomo. Nie jest pewne, czy Ambasador śpi, czy też tylko odpoczywa w tej pozycji. Z prawej strony wchodzi Amelie, w piżamie. Ambasador nie jest świadomy jej wejścia. Amelie staje naprzeciw Ambasadora, stoi przez chwilę w milczeniu.

AMELIE — Odchodzę.

AMBASADOR (*podnosząc głowę, jakby nagle zbudzony*) — Hę? Teraz? W nocy? Tak nagle?

AMELIE — Nie mogłam zasnąć. Nagle zrozumiałam, że nie zasnę, dopóki jestem z tobą. Więc przyszłam, żeby od ciebie odejść.

AMBASADOR — Dokąd?

AMELIE — Do klasztoru.

AMBASADOR — W tym stroju?

AMELIE — Przestań! Ja mówię poważnie, to nie są żarty. A zresztą, to wcale nie musi być klasztor. To może być cokolwiek.

AMBASADOR — A!

AMELIE — Cokolwiek, co mi pozwoli odnaleźć siebie.

AMBASADOR — Co to znaczy?

AMELIE — Moją własną osobowość. Odchodzę w poszukiwaniu mojej własnej osobowości.

Ambasador wstaje i wychodzi zza biurka.

AMBASADOR — A jeżeli nie wyrażę zgody na rozwód?

AMELIE — Mąż, który przeszkadza żonie w poszukiwaniu jej własnej osobowości, przegrywa sprawę rozwodową automatycznie.

AMBASADOR — A ja ci przeszkadzam?

AMELIE — Tak.

AMBASADOR — W jaki sposób?

AMELIE — Jako żona ambasadora nie istnieję samodzielnie.

AMBASADOR — A gdybym przestał być ambasadorem?

AMELIE — Chcesz podać się do dymisji?

AMBASADOR — Nie, ale możemy się znaleźć w pewnych okolicznościach, w których ja nie mógłbym już dłużej być ambasadorem.

AMELIE — W jakich okolicznościach?

AMBASADOR — Tego nie mogę ci powiedzieć. Niemniej już za chwilę mogę nie być ambasadorem. I wtedy — co ty na to?

AMELIE — To zależy od tego, kim wtedy będziesz.

AMBASADOR — Tylko twoim mężem.

AMELIE — Tylko? Uważasz, że to mało?

AMBASADOR — Chciałem powiedzieć: wyłącznie.

AMELIE — Nie tłumacz się, to na nic się nie przyda, już się zdradziłeś. A więc uważasz, że być tylko moim mężem, to mniej niż być ambasadorem.

AMBASADOR — Nie będziemy teraz o tym dyskutowali. Odpowiedz mi tylko, czy wtedy byłabyś nareszcie zadowolona? Czy zostałabyś ze mną?

AMELIE — Też nie.

AMBASADOR — Dlaczego?

AMELIE — Bo nie wiem, kim ty jesteś naprawdę.

AMBASADOR — Mówisz tak po dwudziestu latach małżeństwa?

AMELIE — Niestety. Wiem tylko, że jesteś ambasadorem, ponieważ zostałeś nim mianowany. Wiem tylko, że jesteś moim mężem, ponieważ mnie poślubiłeś. Ale kim jesteś beze mnie i bez ambasady? Kim jesteś sam dla siebie, sam przed sobą?

Pauza.

Ambasador siada na fotelu.

AMBASADOR — Ja również chciałbym to wiedzieć.

AMELIE — Właśnie.

AMBASADOR — Ale czy to takie ważne?

AMELIE — Przecież ja nie mogę żyć z człowiekiem, o którym nie wiem, kim jest naprawdę! zwłaszcza że...

AMBASADOR — Że co?

AMELIE — Ach, nic.

AMBASADOR — A jednak chciałbym usłyszeć to, co chciałaś powiedzieć, ale nie powiedziałaś.

Pauza.

Amelie siada w fotelu, naprzeciw Ambasadora.

AMELIE — Ponieważ nie wiem, kim jesteś naprawdę — i to po dwudziestu latach małżeństwa — tym bardziej nie mogę pozbyć się wrażenia, że ciebie wcale nie ma.

AMBASADOR — Jak to — nie ma...

AMELIE — Po prostu.

AMBASADOR — Znikam?

AMELIE — Nie. Nie ma cię, ponieważ nigdy cię nie było. Ambasador i mąż — to jest istnienie pozorne. Prawdziwe istnienie nie polega na tym, jaki stosunek mają do ciebie inni. Przychodzi mi do głowy...

AMBASADOR — Czy nie przyszło ci do głowy, że jestem po prostu człowiekiem?

AMELIE — Jakim człowiekiem?

AMBASADOR — Całkiem zwyczajnym, człowiekiem...

AMELIE — Nie. Człowiekiem jest się tylko wtedy, kiedy się w coś wierzy.

AMBASADOR — Zdaje mi się, że ktoś mi to już powiedział... Zaraz... Kto to był...

AMELIE — Wszystko jedno...

AMBASADOR — Nie, to był ktoś z zewnątrz. Całkiem z zewnątrz. I powiedział coś całkiem podobnego.

AMELIE — Prawdy tak ogólne i oczywiste są powszechnie znane. Mógł ci to powiedzieć ktokolwiek.

AMBASADOR — Ale to nie był ktokolwiek.

AMELIE — Jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że prawda jest prawdą.

AMBASADOR — To nie był ktokolwiek. To był ktoś.

AMELIE — Tak?

AMBASADOR — Tak.

AMELIE — I co z tego?

AMBASADOR — To on cię tego nauczył?

AMELIE — Kto?

AMBASADOR — Mam powiedzieć?

AMELIE — Jeżeli już zacząłeś...

AMBASADOR — Nasz gość, uciekinier. Ten apostoł, ten znawca duszy, to on cię nawrócił, prawda?

AMELIE — Nikt mnie nie musiał nawracać. Ja sama od dawna tak myślę.

AMBASADOR — Bo on ma duszę, co? A ja duszy nie mam, co?

AMELIE — Jeżeli już koniecznie chcesz wiedzieć...

AMBASADOR — Oczywiście, że chcę!

AMELIE — On mi tylko pomógł jaśniej sformułować moje myśli.

AMBASADOR — Aha.

AMELIE — A jeżeli chcesz już wiedzieć wszystko...

AMBASADOR — Tak! Chcę wiedzieć wszystko!

AMELIE — ... To moim zdaniem, nie trzeba koniecznie wierzyć w Boga, żeby być człowiekiem.

AMBASADOR — O Boże!

AMELIE — Trzeba wierzyć, ale niekoniecznie w Boga. Trzeba wierzyć w cokolwiek, co jest większe od nas, co nas przerasta... (*pauza*) Czy ty mnie słuchasz?

AMBASADOR — Słucham.

AMELIE — W coś, co przerasta naszą indywidualność, nasze wyodrębnione, poszczególne „ja". W coś, co było, zanim myśmy się narodzili, i będzie, kiedy my już umrzemy. Co sięga w przyszłość...

AMBASADOR (*do siebie*) — Kanalia.

AMELIE — Proszę?

AMBASADOR — Nic, nic, mów dalej.

AMELIE — W coś, co jest niewymierne, co jest naszym jednostkowym doświadczeniem, co nas ogarnia i przewyższa. Żeby być człowiekiem, trzeba wierzyć w coś, co jest transcendentne.

Długa pauza.

AMELIE — Ja już skończyłam.

AMBASADOR (*roztargniony*) — Hę?

AMELIE — Mógłbyś przynajmniej udawać, że mnie słuchasz. Choćby z prostej uprzejmości.

AMBASADOR — Nie muszę udawać, wiem, słyszałem, rozumiem.

AMELIE — Więc dlaczego nie odzywasz się do mnie? Dlaczego mi nie powiesz czegokolwiek, co by świadczyło, że wiesz, o czym ja mówię?

AMBASADOR — A co ja mogę powiedzieć?

AMELIE — Nic?

AMBASADOR — Nic.

Pauza.

AMELIE — Tak uważasz? (*wstaje*) A więc teraz już wiem na pewno, że nie powinnam zostać z tobą.

AMBASADOR — Ale powinnaś wziąć pod uwagę także moje zdanie w tej sprawie. Wydaje ci się, że ty mnie nie potrzebujesz, a nawet że ja ci przeszkadzam, rozumiem. Ale być może, wydaje ci się tak dlatego, że nie wiesz, nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak bardzo ja potrzebuję ciebie. Zwłaszcza teraz, kiedy...

Lampa gaśnie.

Pauza.

AMBASADOR — Zaraz dokończę, tylko zapalę jakieś światło.

Pauza.

Po chwili Ambasador zapala zapałkę. Fotel naprzeciwko Ambasadora jest pusty. Amelie zniknęła. Ambasador wstaje i przechodzi na prawo, szukając jej.

AMBASADOR — Amelie!

Scena 2

Z lewej strony wchodzi Otello, niosąc zapalone świece w lichtarzu.

OTELLO — Sir?
AMBASADOR — Co się stało?
OTELLO — Władze lokalne przerwały dostawę prądu elektrycznego dla naszej ambasady.

Scena rozjaśnia się czerwonym, drgającym blaskiem.

AMBASADOR — A to?
OTELLO — Tłum zebrany przed ambasadą pali nasze sztandary.
AMBASADOR — Proszę zasłonić okna.
OTELLO — Domagają się, żebyśmy wydali zbiega.
AMBASADOR — Proszę zasłonić okna!

Otello stawia lichtarz na biurku i zaciąga kurtyny na oknach. (Pantomimicznie, jeżeli w danej inscenizacji nie tylko nie mamy okien, ale nawet kurtyn). Czerwony blask znika, scena oświetlona tylko blaskiem świec. Zasłoniwszy okna — Otello wraca na środek sceny.

OTELLO — Sir, to nie jest moja sprawa, ale...
AMBASADOR — Ale?
OTELLO — Co z nim zrobimy?
AMBASADOR — Niech pan go przyśle do mnie.

Otello wychodzi na lewo.

Scena 3

Ambasador zdejmuje świecznik z biurka i stawia go na stoliku po lewej stronie sceny.

Scena 4

Z lewej strony wchodzi Człowiek i staje u wejścia.

AMBASADOR — Proszę, niech pan siada.

Człowiek siada. Ambasador siada naprzeciw niego.

AMBASADOR — Pan jest człowiekiem wierzącym.

CZŁOWIEK — Pan Ambasador już to zaprotokołował.

AMBASADOR — Właśnie. I tym razem nie pytam pana o nic... urzędowo. Mam tylko osobistą prośbę do pana.

CZŁOWIEK — Panie Ambasadorze, kiedy osoba urzędowa mi mówi, że ma do mnie osobistą prośbę, to ja wtedy zawsze bardzo się czegoś boję.

AMBASADOR — Czy może mi pan wyjaśnić, jak to się robi, że się w coś wierzy?

CZŁOWIEK — Co tu jest do wyjaśniania.

AMBASADOR — Jak pan do tego doszedł, że pan wierzy.

CZŁOWIEK — Ja nie doszedłem, ja wierzę.

AMBASADOR — Ale jak pan to zrobił.

CZŁOWIEK — Nie mam pojęcia.

AMBASADOR — Jak to, wierzy pan i sam pan nie wie jak? Nie mogę w to uwierzyć.

CZŁOWIEK — Bo nie wierzyć jest bardzo łatwo. Wystarczy mieć niewystarczające dowody, że coś jest tak, a nie inaczej i już pan nie wierzy.

AMBASADOR — Nie pytam, jak się robi, żeby nie wierzyć. Z tym nie mam żadnych trudności. Pytam, jak się robi, żeby w coś uwierzyć.

CZŁOWIEK — Czy ja wiem... Chyba odwrotnie do tego, jak się robi, żeby nie wierzyć. To znaczy trzeba nie mieć żadnych dowodów.

AMBASADOR — Pan się chyba pomylił. Odwrotnie — to znaczy, że aby uwierzyć, trzeba mieć wystarczające dowody.

CZŁOWIEK — Nie. Jeżeli pan ma wystarczające dowody, to wtedy nie chodzi o wiarę, ale o pewność. Pewność, to jest coś całkiem innego niż wiara.

AMBASADOR — Pan na przykład wierzy w Boga. Czy to znaczy, że pan nie ma pewności, że Bóg istnieje?

CZŁOWIEK — Żadnej.

AMBASADOR — Pan mnie zaskakuje.

CZŁOWIEK — Dlaczego? Ja nie mam żadnej, najmniejszej nawet pewności, że Bóg istnieje i dlatego właśnie moja wiara w Boga jest wiarą, a nie czym innym. A wiara, to rzecz najważniejsza.

AMBASADOR — I nigdy nie starał się pan o dowody...

CZŁOWIEK — Niech mnie Bóg uchowa, żebym się starał o dowody na Jego istnienie. Szukanie dowodów na istnienie Boga jest grzechem.

AMBASADOR — Nie znam się na teologii, ale wydaje mi się, że to, co pan mówi, to jest jakaś herezja. Pan jest heretykiem?

CZŁOWIEK — Nie, samoukiem. Sam doszedłem do tego, co wiem. I wiem na pewno, że dowody na istnienie Boga są dziełem szatana.

AMBASADOR — Ależ dlaczego!

CZŁOWIEK — Bo osłabiają wiarę.

AMBASADOR — Któż to jest szatan, w takim razie?

CZŁOWIEK — Szatanem jest wszystko, co nie jest wiarą, ale pewnością. Wszystko, co jest na pewno.

AMBASADOR — Czyli wszystko, co się wie na pewno.

CZŁOWIEK — Tak, ponieważ pewność czegokolwiek jest przeciwieństwem wiary.

AMBASADOR — Ale wobec tego pewność nieistnienia czegokolwiek też jest szatańska i jako taka nie może być podstawą wiary.

CZŁOWIEK — Pewność nieistnienia jest pewnością nicości, czyli sama jest nicością. Czyli niczym. Nie ma jej. Nie, pewność może być tylko pewnością istnienia. Czegoś, a nie niczego.

AMBASADOR — Pan wspomniał kiedyś, że ja muszę wierzyć w mojego prezydenta, żeby być ambasadorem.

CZŁOWIEK — Owszem.

AMBASADOR — Otóż według pańskiej definicji wiary, którą mi pan przedstawił, ja wtedy nie mogłem wierzyć w istnienie prezydenta, ponieważ miałem pewność, że prezydent istnieje.

CZŁOWIEK — Teraz pan już nie ma tej pewności?

AMBASADOR — Tego nie powiedziałem.

CZŁOWIEK — Ale pan powiedział — „miałem". To znaczy, że teraz pan już jej nie ma.

AMBASADOR — Załóżmy, że nie mam. Hipotetycznie. Czy wobec tego — według pana — teraz już mogę uwierzyć? Czy teraz powinienem wierzyć?

CZŁOWIEK — To zależy od tego, czy dowody, że prezydent zniknął, są przekonywające.

AMBASADOR — Dowody, że mój prezydent zniknął, są bardzo przekonywające, ale pochodzą z niewiarygodnego źródła.

CZŁOWIEK — Czyli pan tak samo wątpi w to, że prezydent jeszcze jest, jak i w to, że go już nie ma.

AMBASADOR — Niestety.

CZŁOWIEK — Wobec tego, pan nie może wierzyć, skoro pan musi wątpić.

AMBASADOR — To nie jest wniosek, jaki chciałbym usłyszeć od pana.

CZŁOWIEK — Żałuję, ale jest to wniosek jedyny. Nie ma innego.

AMBASADOR — Tak, nie ma innego.

Ambasador wstaje i podchodzi do okna. Uchyla kurtynę okienną. W odsłoniętej części okna widać czerwony blask.

CZŁOWIEK — Panie Ambasadorze...

AMBASADOR (*stojąc przed oknem i patrząc przez okno*) — Słucham?

CZŁOWIEK — Pan mnie nie wyda, prawda?

Ambasador nie odpowiada.

Długa pauza.

CZŁOWIEK — Pan chyba wie, co oni by ze mną zrobili, gdyby mnie dostali z powrotem, gdyby mnie pan wydał...

Ambasador nie odpowiada.

Długa pauza.

CZŁOWIEK — Panie Ambasadorze, ja się boję...

AMBASADOR (*wciąż patrząc w okno*) — Ja też.

Człowiek wstaje, idzie w stronę Ambasadora, przystaje.

CZŁOWIEK — Wiem. Pan także potrzebuje pomocy.

AMBASADOR — Powiedzmy, że potrzebuję. W pewnym sensie. I co z tego?

CZŁOWIEK — Ja mogę panu pomóc.

AMBASADOR — Pan? Mnie?

CZŁOWIEK — Tak, mogę.

AMBASADOR — Jak?

CZŁOWIEK — Ja wiem, jak panu dać wiarę.

AMBASADOR — Czyżby?

CZŁOWIEK — Ja już wiem, w co pan mógłby uwierzyć.

AMBASADOR — W co?

CZŁOWIEK — Niech mi pan da słowo honoru, że mnie pan nie wyda.

Ambasador odwraca się od okna całą postacią, jednocześnie przestając podtrzymywać kurtynę okienną, która opada i zasłania znowu całe okno, rąbek czerwonego blasku znika. Jako oświetlenie sceny pozostaje wyłącznie blask świec.

AMBASADOR — Co takiego?

CZŁOWIEK — Niech mi pan przyrzeknie, że mnie pan obroni. Niech pan przysięgnie na honor.

AMBASADOR — Czy pan zdaje sobie sprawę, że pańskie żądanie jest — mówiąc oględnie — zbyt wygórowane? A mówiąc inaczej — po prostu bezczelne?

CZŁOWIEK — Ja nie tylko dla siebie, ja także dla pana. Mnie pańskie słowo honoru może mniej nawet jest potrzebne niż panu.

AMBASADOR — Jak pan to rozumie.

CZŁOWIEK — Przecież pan szuka czegoś, w co mógłby pan uwierzyć, prawda?

AMBASADOR — Tak. I co dalej?

CZŁOWIEK — Więc niech mi pan da słowo honoru, że mnie pan uratuje. Przecież pan nie ma żadnej pewności, że pan tego słowa dotrzyma. Wobec tego musi pan tylko wierzyć, że pan dotrzyma swojego słowa honoru. W ten sposób nareszcie będzie pan miał w co wierzyć.

AMBASADOR — Mam wierzyć w moje własne słowo honoru?

CZŁOWIEK — Chyba to pana nie dziwi.

AMBASADOR — Czyli miałbym uwierzyć w moją własną uczciwość. Czy to pan ma na myśli?

CZŁOWIEK — Oczywiście. W dodatku będzie to wiara w najczystszej postaci, ponieważ bez żadnej pewności.

AMBASADOR — Uwierzyć w moją własną przyzwoitość...

CZŁOWIEK — Tak jest.

AMBASADOR — Prawość.

CZŁOWIEK — Tak.

AMBASADOR — W moją osobistą odpowiedzialność.

CZŁOWIEK — Właśnie.

AMBASADOR — Krótko mówiąc, pan mi proponuje, żebym uwierzył w swój honor. Czyli po prostu w honor.

CZŁOWIEK — Jeżeli pan nie może w nic innego...

Pauza.

AMBASADOR — Wezmę to pod uwagę.

CZŁOWIEK — O, panie Ambasadorze...

AMBASADOR — Ale teraz niech pan mnie zostawi samego. Pan chyba rozumie, muszę wydać odpowiednie dyspozycje, a wziąwszy pod uwagę okoliczności... Jestem zajęty, pan wybaczy.

CZŁOWIEK — Ale co ze mną, co będzie ze mną!

AMBASADOR — Na razie... Na razie może pan tutaj zostać.

CZŁOWIEK — Niech Bóg ma pana w swojej opiece.

AMBASADOR — Amen. Ale nie będzie mu łatwo.

Człowiek wychodzi na lewo. Wyciemnienie.

Scena 5

Ambasador siedzi za biurkiem i pisze. Na biurku świecznik ze zgaszonymi świecami. Świece są prawie całkiem wypalone. Ambasador ma na sobie ciężkie, kosztowne futro. Z całego umeblowania, poza biurkiem i krzesłem, na którym siedzi Ambasador, pozostał tylko jeden fotel po lewej stronie. Drugi fotel, obydwa stoliki i krzesło przed biurkiem — zniknęły. Natomiast po prawej stronie pojawił się na miejscu stolika prymitywny piecyk żelazny z długą, blaszaną rurą.

Z lewej strony wchodzi Otello w płaszczu z sierści wielbłądziej i długim, jaskrawo żółtym szaliku. Otello niesie naręcze akt-dokumentów (są to archiwa ambasady). Przechodzi przez scenę, zrzuca pakiet na podłogę, przyklęka i otwiera drzwiczki piecyka. Wyjmuje z kieszeni pudełko zapałek, kładzie je na podłodze. Ogląda się na Ambasadora, a widząc, że ten dalej zajęty jest pisaniem, bierze z pakietu plik dokumentów. Ambasador przerywa pisanie, zdejmuje okulary, z okularami w ręku podchodzi do Otella. Wyjmuje mu z ręki plik dokumentów, wkłada okulary, przegląda papiery. Otello nadal klęczy i spoziera ku górze na Ambasadora wyczekująco.

AMBASADOR — Tych dokumentów nie wolno palić tak długo, jak długo jesteśmy ambasadą.

OTELLO — Ale...

AMBASADOR — Pan, jako sekretarz Ambasady, powinien o tym wiedzieć. Czy nie dosyć mamy starych, naprawdę niepotrzebnych papierów...

OTELLO (*wstając z klęczek*) — Już nie mamy, Sir.

AMBASADOR — Jak to...

OTELLO — Sir, to ja palę w piecu, nie pan. Pan, Ekscelencjo, nie zdaje sobie sprawy, ile trzeba opału, żebyśmy nie zamarzli. Dopóki mieliśmy jeszcze meble — nie było problemu, drzewo daje sporo ciepła. Ale papier...

AMBASADOR — Wszystko jedno. Tych dokumentów niszczyć nie pozwalam.

OTELLO — Sir, moje nowe obowiązki palacza kłócą się z moimi obowiązkami sekretarza. Nie mogę podołać jednym i drugim jednocześnie.

AMBASADOR — Niechże pan zrozumie naszą sytuację.

OTELLO — Naszą sytuację, Sir? Tego nikt nie rozumie, nie tylko ja, ale nikt w całej ambasadzie. Poza panem, oczywiście. Dlaczego wyłączono nam wodę, gaz, ogrzewanie? Czy jesteśmy w stanie oblężenia?

AMBASADOR — Poniekąd.

OTELLO — A jeżeli tak, to dlaczego nasz rząd nie przychodzi nam z pomocą? Dlaczego nie odpowiada na nasze wezwania? Dlaczego nie protestuje?

AMBASADOR — Chwilowo.

OTELLO — Chwilowo, Sir? To trwa już zbyt długo.

AMBASADOR — Niech mi pan wierzy, że już wkrótce nasz rząd dołoży wszelkich starań, żeby nam przyjść z pomocą.

OTELLO — Sir, czy pan sam w to wierzy?

Ambasador milczy.

OTELLO — Sir, pańskie milczenie mówi prawdę. Wobec tego niech mi będzie wolno zapytać, dlaczego my jeszcze trwamy. Dlaczego upieramy się, żeby być ambasadą.

AMBASADOR — Ponieważ nią jesteśmy.

OTELLO — Nie, Sir. Pan doskonale wie, o co mi cho-

dzi. Jesteśmy ambasadą już tylko dlatego, że pan tak postanowił. Skądinąd nasza ambasada nie ma już żadnego uzasadnienia.

AMBASADOR — Co pan wie o tym?

OTELLO — Więcej niż pan przypuszcza.

AMBASADOR — Skąd pan wie?

OTELLO — To nie jest istotne.

AMBASADOR — Jednakże...

OTELLO — Istotne jest tylko moje pytanie: dlaczego pan trwa przy swoim postanowieniu, mimo że nie ma pan już ani wiary, ani nadziei.

AMBASADOR — Pan się nie domyśla dlaczego?

OTELLO — Nie.

AMBASADOR — Więc jeżeli pan sam się nie domyśla, trudno mi to będzie panu wytłumaczyć.

OTELLO — Sir, to jest obelga. Pan sugeruje, że ja nie jestem w stanie zrozumieć tego, co dla pana jest zrozumiałe samo przez się.

AMBASADOR — Proszę mi wybaczyć, jeżeli się pomyliłem.

OTELLO — Sir, teraz zaczynam sobie uświadamiać, że pan mnie obraził podwójnie.

AMBASADOR — Przyznaję, że raz mógł pan poczuć się dotknięty. Ale dlaczego aż dwa razy?

OTELLO — Ponieważ zbyt dobrze wiem, co pan o mnie sądzi, zbyt dobrze znam pańskie uprzedzenia w stosunku do mnie, abym się nie domyślił tego, czego ja — według pańskiej opinii o mnie — nie jestem w stanie się domyślić.

AMBASADOR — A mianowicie?

OTELLO — Pan uważa za pewne, że ja nie mogę zrozumieć tak wysublimowanego motywu postępowania, jakim jest pojęcie i poczucie honoru.

AMBASADOR — Ależ...

OTELLO — Tak! Pan jest przekonany, że ja nie mogę pojąć motywów tak wysublimowanych, jak wierność dla straconej sprawy, bezinteresowna ofiarność, czy wielkopański gest. Pan uważa, że to dla mnie jest za trudne, niedostępne, to wszystko, co wy nazywacie honorem.

AMBASADOR — My?

OTELLO — Tak! Ludzie pańskiej sfery, pańskiej tradycji, pańskiego pochodzenia. Pan sądzi, że ja do tego nie jestem zdolny, prawda?

AMBASADOR — Niekoniecznie. Ale jeżeli pan chce koniecznie mieć rację, jeżeli pan się przy tym upiera...

OTELLO — Sir, stwierdzam z satysfakcją, że nasza antypatia jest wzajemna.

AMBASADOR — Wobec tego satysfakcję z powodu wzajemności naszej antypatii również uznajmy za obopólną.

OTELLO — Nareszcie możemy sobie to szczerze powiedzieć, co?

AMBASADOR — Tak, jest w tym pewna ulga.

OTELLO — I kiedy już rozmawiamy tak szczerze, powiem panu, co myślę o tym pańskim honorze.

AMBASADOR — Oczywiście zakładając, że po tym, cośmy sobie już powiedzieli, pańskie zdanie mnie interesuje.

OTELLO — Nie, ono pana nie interesuje, ponieważ pan jest człowiekiem honoru, a honor właśnie na tym polega, że nie bierze pod uwagę niczego ani nikogo. Honor nie liczy się z okolicznościami, z nikim i niczym. Honor jest najwyższą formą egoizmu.

AMBASADOR — Tak pan sądzi?

OTELLO — Rzekomo służy pan ideałom honoru, ale w rzeczywistości to ideały honoru służą panu. To, co pan nazywa honorem, ja nazywam najwyższą formą egocentryzmu.

AMBASADOR — Czy to znaczy, że pan jest altruistą?

OTELLO — Sir, jeżeli teraz chce mnie pan obrazić po raz trzeci, sugerując, że nie jestem człowiekiem honoru — to nic z tego. A wie pan, dlaczego pan mnie nie może w ten sposób obrazić? Ponieważ pan ma rację. Ja nie jestem człowiekiem honoru.

AMBASADOR — Moje gratulacje, jeżeli pan sobie życzy.

OTELLO — Nie jestem, ponieważ nie chcę nim być. Nie wezmę udziału w tej waszej grze, nie chcę, nawet gdyby mi pan uczynił taki wielki zaszczyt i mnie do niej zaprosił, mnie prostaka, nawet gdyby pan zechciał mnie łaskawie dopuścić do tej rozrywki wyższych sfer. Ja gwiżdżę na ten cały wasz honor!

AMBASADOR — Ależ dlaczego pan tak się denerwuje?

OTELLO — Ja się nie denerwuję.

AMBASADOR — Owszem, pan krzyczy.

OTELLO (*krzycząc*) — Ja nie krzyczę!

AMBASADOR — Jeżeli sprawa honoru jest panu tak obojętna, jak pan twierdzi, to dlaczego pan się aż tak denerwuje, kiedy pan się czuje posądzony o brak honoru. To nie jest logiczne.

OTELLO — A ten pański honor jest logiczny? Czy to jest logiczne robić coś, co nie ma żadnego sensu, tylko dlatego, że pan sobie tak postanowił?

AMBASADOR — Pan nie aprobuje moich motywów postępowania. Dobrze, ma pan do tego prawo. Ale czym wobec tego pan się kieruje, czym uzasadnia pan swoje własne postępowanie w wiadomej sprawie...

OTELLO — W jakiej sprawie...

AMBASADOR — W sprawie wiadomej propozycji. Dlaczego pan tej propozycji nie przyjął...

OTELLO — Jakiej propozycji... O czym pan mówi.

AMBASADOR — Domyślałem się od dawna, a dzisiaj pan sam to potwierdził niechcący, że przedstawiciel obcego mocarstwa, na którego terenie jesteśmy ambasadą, zwrócił się do pana z propozycją kolaboracji.

OTELLO — Sir!

AMBASADOR — Domyślam się również, że pan nie przyjął tej propozycji. Bo pan jej nie przyjął, prawda?

OTELLO — Sir, pan nie ma żadnych podstaw, aby...

AMBASADOR — .... Aby wątpić w pańską lojalność? (*pauza*) Czy też odwrotnie: aby w nią nie wątpić? Niestety, teraz już wątpię. Teraz już nie mam żadnych podstaw, aby sądzić, że pan tej propozycji nie przyjął.

OTELLO — Pan mi nie wierzy?!

AMBASADOR — Uwierzyć panu? Ale w co? Czy mam uwierzyć, że pan jest człowiekiem lojalnym, czy też, że jest pan człowiekiem bez honoru. Postawił mnie pan w trudnej sytuacji. Do tej pory wierzyłem w pańską lojalność. Czyli wierzyłem w pański honor. Ale teraz, kiedy słyszę, że pan honor odrzuca... Kiedy pan sam deklaruje, że honor nie ma dla pana żadnego znaczenia... Niech mi pan pomoże rozwiązać ten dylemat.

OTELLO — A gdybym panu dał słowo...

AMBASADOR — Słowo czego? Słowo honoru? (*pauza*) Jeżeli pominiemy taką subiektywną drobnostkę jak honor, to obiektywnie, z racjonalnego punktu widzenia, nie ma rzeczywiście żadnego powodu, żeby pan był dłużej wobec mnie lojalny. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że pan powinien przyjąć propozycję nielojalności. Czego zresztą nawet nie musimy nazywać zdradą, oczywiście tylko z racjonalnego punktu widzenia. Jak pana zapewne poinformowano, nasza sprawa, racjonalnie rzecz biorąc, już i tak jest stracona.

OTELLO — A więc pan jest przekonany, że ja jestem zdrajcą, tak?

AMBASADOR — Niestety, pan sam mi narzuca takie przekonanie. Chyba że...

OTELLO — Jakież pan może mieć jeszcze wątpliwości.

AMBASADOR — No właśnie. Chyba że pańskie zapewnienia, że pan nie jest i nie chce być człowiekiem honoru, nie były całkiem szczere.

OTELLO — Pan... w to wątpi?

AMBASADOR — Podyktowane jedynie animozją, jaką pan do mnie żywi. Chęcią przeciwstawienia się mnie, zaprzeczenia, infantylną przekorą. Chęcią, czy też może niezwalczoną potrzebą... Potrzebą, żeby mieć swoje własne zdanie, obojętne jakie, byle własne. Coś własnego za każdą cenę, nawet za taką cenę... (*pauza*) Czy nie tak?

OTELLO — Sir, proszę przyjąć moje podanie o dymisję.

AMBASADOR — Ależ to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

OTELLO — Owszem, to jest moja odpowiedź.

AMBASADOR — Która jednak niczego mi nie wyjaśnia.

OTELLO — Moją jedyną odpowiedzią może być tylko moja dymisja.

AMBASADOR — Rozumiem. Pan po prostu rezygnuje z odpowiedzi.

OTELLO — Sir, niech pan pozwoli mi odejść.

AMBASADOR — Pan odchodzi, czy też raczej — pan ucieka.

OTELLO — Interpretacja należy do pana.

AMBASADOR — A jednak zostawia mnie pan z pewną zagadką.

OTELLO — Ja panu nie pomogę jej rozwiązać.

AMBASADOR — Szkoda. Wobec tego muszę sam wybrać rozwiązanie. Oczywiście ryzykując, że się mylę. Ale skoro pan nie chce mi pomóc... (*pauza*) Przyjmuję pańską dymisję.

OTELLO — Sir...

Otello odwraca się, idzie na lewo.

AMBASADOR — Otello!

Otello przystaje i zwraca się do Ambasadora.

OTELLO — Sir?

AMBASADOR — Czy naprawdę nie może mi pan nic powiedzieć?

OTELLO — Tylko jedno, Sir.

AMBASADOR — A więc słucham.

OTELLO — Mogę powiedzieć tylko tyle, że kiedyś wszystko się zmieni. Zaświta dzień wolności.

AMBASADOR — Jakiej wolności?

OTELLO — Wolności od honoru.

AMBASADOR — Jak mam to rozumieć...

OTELLO — Dosłownie. Nadejdzie dzień, kiedy się nareszcie wyzwolę od tego waszego francowatego honoru całkowicie i definitywnie.

Otello wychodzi na lewo. Wyciemnienie.

Scena 6

Nazajutrz. Ambasador, wciąż w futrze, siedzi za biurkiem i pisze. Papiery rozrzucone na podłodze koło piecyka. Z lewej strony wchodzi Pełnomocnik, w palcie z bobrowym kołnierzem, w czapce futrzanej. Niesie dużą paczkę, przewiązaną różową kokardą.

PEŁNOMOCNIK — Nie przeszkadzam?

Ambasador zdejmuje okulary, wstaje i wychodzi zza biurka.

PEŁNOMOCNIK — Zimno tu u was. I jakoś tak, powiedziałbym, ubogo. No cóż, zmiany, zmiany... Ja bym się nie zgodził pracować w takich warunkach. A pan ciągle się upiera...

AMBASADOR — Owszem. Pan pozwoli, że mu pomogę zdjąć palto...

PEŁNOMOCNIK — Dziękuję, nie zdejmę. Prawdziwa lodownia. Pan jeszcze się nie przeziębił?

AMBASADOR — Muszę pana zmartwić, ale nie.

PEŁNOMOCNIK — Przeciwnie, drogi kolego, całkiem przeciwnie. Bardzo się cieszę, że w dalszym ciągu jest pan zdrów. My w dalszym ciągu liczymy na pana.

AMBASADOR — Niesłusznie.

PEŁNOMOCNIK (*rozgląda się*) — Co za mizeria, aż przykro patrzeć... Mógłby mnie pan czymś poczęstować dla rozgrzewki?

AMBASADOR — Niestety, nie.

PEŁNOMOCNIK (*kiwając głową z politowaniem*) — Tak myślałem. Co za bieda! Zapasik się skończył, co? Takie przykre położenie, naprawdę, aż serce się ściska. No, ale niech pan się nie przejmuje, mam tu coś dla pana.

Podchodzi do biurka, stawia paczkę na biurku, pociąga za kokardę i rozwija paczkę. Wyjmuje kolejno przedmioty, które wymienia.

PEŁNOMOCNIK — Koniaczek... aspiryna, to na wypadek, gdyby pan się jednak przeziębił... Sardynki... pomarańcze... czekolada...

Podnosi i pokazuje każdy wymieniony przedmiot, a nazwawszy go, wkłada z powrotem do paczki.

PEŁNOMOCNIK — A to niespodzianka.

Wyjmuje z paczki i rozwija włóczkowy szalik.

AMBASADOR — Wzruszająca troska.

PEŁNOMOCNIK (*rzucając szalik na stół, obok paczki*) — A co pan myślał? My martwimy się o pana. Chcielibyśmy panu pomóc. Wszyscy. Ale pan jest niewdzięczny... Niełądnie, niełądnie z pana strony.

AMBASADOR — Bardzo mi przykro.

PEŁNOMOCNIK — I po co taka zaciętość, taki upór. Czy panu siebie nie żal?

AMBASADOR — Dlaczego? Czuję się doskonale.

PEŁNOMOCNIK — A nam żal. Doprawdy, płakać się chce, kiedy się na pana patrzy. Taki zdolny człowiek, taka kariera, takie możliwości i tak się marnuje. A wszystko z własnej winy.

AMBASADOR — Tak, za wszystko ja sam ponoszę odpowiedzialność. Dlatego właśnie czuję się doskonale.

PEŁNOMOCNIK — Wiem, wiem, honor i tak dalej... Słyszałem, słyszałem, ja wszystko słyszałem. My wszystko przecież wiemy. Ach, te romantyczne złudzenia...

AMBASADOR — A poza tym, co mi pan ma do powiedzenia?

PEŁNOMOCNIK — W dodatku jaka samotność... W sekretariacie nikogo... W sypialni nikogo... Po kolei wszyscy pana porzucili, tylko my jesteśmy przy panu, na nas może pan liczyć.

AMBASADOR — Dziękuję. Więc o co chodzi? Słucham pana.

PEŁNOMOCNIK — Bo przecież ten uciekinier to nie jest dla pana żadne towarzystwo. Nie na pańskim poziomie i w ogóle nieodpowiedni człowiek pod każdym względem. Ale, ale, skoro już o nim mówimy... Jak z nim będzie?

AMBASADOR — Bez zmian.

PEŁNOMOCNIK (*wzdycha głęboko*) — Tego się właśnie obawiałem. No cóż, trzeba to będzie nareszcie jakoś załatwić.

AMBASADOR — Moje stanowisko nie uległo zmianie. Ja go wam nie wydam.

PEŁNOMOCNIK — Ja już nie mówię, że pan coś zrobi albo nie zrobi. Owszem, do tej pory prosiłem pana, błagałem nawet. Ale pan jest jak z kamienia. A więc jak długo tak można? Ja teraz mówię, że my sami musimy to jakoś załatwić, wszystko jedno, czy pan się zgodzi czy pan się nie zgodzi. My sami, bez pana.

AMBASADOR — Chcecie go zabrać siłą?

Pełnomocnik rozkłada ręce teatralnym gestem pokory i bezradności.

AMBASADOR — Jeśli go zabierzecie siłą, będzie to pogwałcenie eksterytorialności naszej ambasady.

PEŁNOMOCNIK — Drogi panie kolego. Przecież nie będziemy sobie powtarzali jeszcze raz tego samego, co obaj już wiemy o waszej ambasadzie.

AMBASADOR — Dobrze. Załóżmy nawet, że nie nastąpią żadne represje ze strony naszego rządu.

PEŁNOMOCNIK (*chrząka ironicznie i znacząco*) — Khm-khm...

AMBASADOR — Dobrze. Przypuśćmy, że nasza państwowość już nie istnieje. Ale przecież właśnie to chcecie ukryć przed

waszymi obywatelami. Jeżeli więc zabierzecie uciekiniera siłą i kiedy to pogwałcenie eksterytorialności naszej ambasady ujdzie wam bezkarnie, wtedy skończy się fikcja, na której wam zależy. Okaże się, że nasza państwowość nie istnieje, czyli okaże się to, co chcecie ukryć.

PEŁNOMOCNIK — Pan ma świętą rację, świętą rację, niestety. Ale musimy wybrać mniejsze zło.

AMBASADOR — Ależ dlaczego właściwie wam na nim tak zależy! Dlaczego nie możecie zostawić go w spokoju, zrezygnować z niego! W czym on wam aż tak zagraża!

Pełnomocnik siada na fotelu.

PEŁNOMOCNIK — Panie kolego, rozpatrzmy sytuację. Najpierw — pan nie chce przyjąć naszej propozycji. Upiera się pan, żeby dalej być ambasadorem, że tak powiem, niezależnym, jak gdyby nigdy nic. Mimo że wyniknęły z tego dla pana różne uciążliwości, doprawdy pożałowania godne. No, ale trudno, nie chce pan, to nie. My ostatecznie moglibyśmy się na to zgodzić. Niechby się pan dalej bawił w ambasadora. A to, że o chłodzie i głodzie, to pańska sprawa. Nam to ostatecznie nie przeszkadza, choć byłoby lepiej i dla nas i dla pana. gdyby pan był ambasadorem pod naszą, że tak powiem, kontrolą. Ale i bez tego mamy to, o co nam chodzi, mamy kontynuację, mamy u siebie ambasadora, choć szkoda. że od nas niezależnego. Powtarzam, że taki stan rzeczy moglibyśmy jeszcze tolerować. Jasne?

AMBASADOR — Jasne.

PEŁNOMOCNIK — Ale cóż... Na pańskie i nasze nieszczęście wziął pan sobie na głowę tego uciekiniera. Udzielił mu pan azylu i nie chce go pan nam wydać. I tego już my tolerować nie możemy.

AMBASADOR — Ależ dlaczego?

PEŁNOMOCNIK — Proszę pana, w systemie religijnym, opartym na wierze w moc nadprzyrodzoną, grzesznik karany jest po śmierci. Idzie do piekła i tam dopiero się z nim rozliczają. Ale jak panu wiadomo, nasz system opiera się na władzy doczesnej. U nas grzesznik musi być ukarany, jeszcze zanim umrze, tu, na tej ziemi.

AMBASADOR — Ale czy musi?

PEŁNOMOCNIK — Jak to, przecież nawet Pan Bóg nie może zbawić grzesznika, który nie odbył pokuty i nie żałuje za swoje grzechy. Nawet Pan Bóg nie może z nim zrobić nic innego, jak tylko umieścić go w piekle. Jeden wyjątek od reguły i już się wali całe królestwo niebieskie. Więc jeżeli nawet Pan Bóg nie może sobie na to pozwolić, to pan chce, żebyśmy my mogli?

AMBASADOR — Czy naprawdę to by wam aż tak zaszkodziło?

PEŁNOMOCNIK — Proszę pana, niektórzy nazywają nasz system systemem totalitarnym. Uważają przy tym, że jest to przymiotnik pejoratywny. Ja osobiście nie widzę w tym nic złego, bo cóż jest złego w totalnym szczęściu mas? Ale totalne szczęście jest możliwe tylko pod jednym warunkiem. A mianowicie, jeżeli jest totalne. Najmniejsze odchylenie, czyli najmniejsze niezadowolenie, a już szczęście nie jest to samo, już pojawiają się wątpliwości. Dlatego my nie możemy tolerować najmniejszych nawet odchyleń, pod groźbą zmiany całego systemu. System totalny na tym właśnie polega, że najdrobniejsza nawet cząstka jest tym samym co całość. A więc najdrobniejsza nawet zmiana powoduje od razu zmianę całości. Czy teraz jest to dla pana też jasne?

AMBASADOR — Całkowicie.

PEŁNOMOCNIK — No, nareszcie. Jak pan widzi, my musimy zrobić to, co zrobimy, jeżeli pan nam nie wyda zbiega dobrowolnie. Z przykrością, ale musimy. I zrobimy.

AMBASADOR — A ja, z moich powodów, tego nie zrobię.

PEŁNOMOCNIK — Przecież pan nie musi go bronić! My musimy go mieć, ale pan wcale nie musi nam w tym przeszkadzać!

AMBASADOR — Pan jest w błędzie. Ja też muszę. Również pod groźbą zmiany systemu.

PEŁNOMOCNIK — Jakiego systemu, gdzie!

AMBASADOR (*wskazując palcem na swoje czoło*) — Tu.

PEŁNOMOCNIK — Nawet jeżeli sprawa jest dla pana beznadziejna?

AMBASADOR — Tym bardziej.

PEŁNOMOCNIK — Czy pan zdaje sobie sprawę, że kiedy my to zrobimy, pan nie będzie nam już zupełnie potrzebny? Że wtedy z panem zrobimy to samo co z nim?

AMBASADOR — Przyznaję, że nie pomyślałem o tym.

PEŁNOMOCNIK (*wstaje*) — Więc niech pan pomyśli. Ale szybko.

AMBASADOR — Ile pan daje mi czasu?

PEŁNOMOCNIK — Niewiele. Jeżeli pan nam go nie wyda do jutra, do godziny... (*patrzy na zegarek*) ... powiedzmy, dwunastej w południe...

AMBASADOR (*również patrząc na zegarek*) — Punktualnie?

PEŁNOMOCNIK (*dobitnie*) — Pun-ktu-al-nie.

Pełnomocnik kieruje się na lewo.

AMBASADOR — Zanim się rozstaniemy, chciałem jeszcze pana o coś zapytać.

PEŁNOMOCNIK (*przystając*) — Tak?

AMBASADOR — Ale prywatnie. Pan nie raz podkreślał, że chciał pan ze mną rozmawiać prywatnie. Pan pamięta?

PEŁNOMOCNIK — No?

AMBASADOR — Tym razem ja chciałbym... Niech mi pan powie, w co pan właściwie wierzy.

PEŁNOMOCNIK — Pan nie wie?

AMBASADOR — Ach, niech pan da spokój, przecież my obaj wiemy, że to, w co niby pan wierzy publicznie... Zresztą pan sam mi raz wyznał...

PEŁNOMOCNIK (*przerywając mu*) — Do rzeczy.

AMBASADOR — Ja chciałbym wiedzieć, w co pan wierzy naprawdę.

PEŁNOMOCNIK — Ja wierzę w to, co jest.

AMBASADOR — W to, co na pewno jest, prawda?

PEŁNOMOCNIK — A jak inaczej? Ja wierzę w to, co musi być.

AMBASADOR — Czyli w oczywistość.

PEŁNOMOCNIK — Jak pan woli.

AMBASADOR — Powiedzmy, w konieczność.

PEŁNOMOCNIK — Wychodzi na to samo, nie?

AMBASADOR — Większa siła pokonuje mniejszą, prawda?

PEŁNOMOCNIK — To się chyba rozumie.

AMBASADOR — Właśnie, tak być musi, to jest konieczne, nieuchronne jak prawo natury. Ale my jesteśmy ludźmi, prawda? A więc pytanie: czy jako istoty ludzkie jesteśmy tym samym co natura, czy jesteśmy tylko i wyłącznie naturą, czy też jest w nas

także coś innego, coś, co naturą nie jest, coś obok czy może ponad to... Jak pan sądzi?

Pauza.

PEŁNOMOCNIK — Jutro o dwunastej. Punktualnie.

AMBASADOR (*do Pełnomocnika*) — Rozumiem. A więc ostatecznie pan wierzy w siłę. Tylko i wyłącznie w siłę.

Pauza.

Pełnomocnik stoi naprzeciw Ambasadora nieruchomo, przyglądając mu się równie nieruchomymi oczami.

AMBASADOR — Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Pełnomocnik odwraca się i kieruje do wyjścia na lewo.

AMBASADOR — Chwileczkę, pan czegoś zapomniał.

Pełnomocnik zawraca, podchodzi do biurka, bierze paczkę i wychodzi na lewo. Wyciemnienie.

Scena 7

Nazajutrz przed południem. Ambasador w rozpiętym futrze siedzi za biurkiem i pisze. Człowiek zawinięty w zielony, wojskowy koc siedzi na fotelu po lewej stronie sceny, zwrócony twarzą do Ambasadora.

CZŁOWIEK (*po chwili, najpierw odchrząknąwszy nieśmiało*) — Panie Ambasadorze, co pan pisze?

Ambasador przestaje pisać, zdejmuje okulary, patrzy na Człowieka.

AMBASADOR — Pamiętniki. Każdy były ambasador musi kiedyś napisać pamiętniki.

CZŁOWIEK — Przecież pan jeszcze nie jest na emeryturze.

AMBASADOR — Ale potem mogę już nie zdążyć. Więc wolę teraz.

CZŁOWIEK — Rozumiem. Pan woli załatwić sprawę od razu i mieć z głowy...

AMBASADOR — Właśnie.

Ambasador wkłada okulary i powraca do pisania.

AMBASADOR — A, w takim razie...

Pauza.

CZŁOWIEK — Ciekawe, co też pan pisze w tych pamiętnikach.

AMBASADOR (*zajęty pisaniem*) — Mmmm...

CZŁOWIEK — Pamiętniki są o tym, co było, więc jak pan może teraz pisać o tym, co było, kiedy tego jeszcze nie ma? Przecież pan nie wie, co będzie jutro.

AMBASADOR (*przerywając pisanie*) — Ma pan rację.

CZŁOWIEK — Tak mi się wydaje.

AMBASADOR — Ale czasami można przewidzieć, co będzie.

CZŁOWIEK — Można, ale to może być bluff. Oszukaństwo. Ktoś panu coś naopowiada, pan myśli, że to prawda, a tymczasem to wcale nie jest tak, tylko całkiem inaczej.

AMBASADOR — A kiedy coś jest jednak raczej tak niż inaczej?

CZŁOWIEK — To wtedy to coś jednak nie jest całkiem tak.

AMBASADOR — Aha...

CZŁOWIEK — To znaczy nie na sto procent. Tak, ale nie całkiem.

AMBASADOR — Słusznie.

Ambasador wstaje z krzesła i wychodzi zza biurka.

AMBASADOR — Czasami mi się wydaje, że wszystko jest nie całkiem tak.

CZŁOWIEK — E, co to, to chyba nie.

Ambasador zaczyna się przechadzać tam i z powrotem po scenie.

AMBASADOR — A jednak. Czasami mam wrażenie, że wszystko jest jednym wielkim bluffem. Co pan na to?

CZŁOWIEK — Niewykluczone.

AMBASADOR — Dobre, co? Bo kiedy nie ma już wiary, to nie może być także nadziei, a bez nadziei trudno żyć. Wtedy jedyną nadzieją jest tylko ta jedna nadzieja, że wszystko jest bluffem. Czyli nadzieja, że się jest oszukanym. Mieć nadzieję, że się jest oszukanym — czy to nie paradoks?

CZŁOWIEK — Tak, ale może być jeszcze gorzej.

Ambasador patrzy na zegarek, po czym zbliża się do Człowieka. Staje naprzeciwko niego. Pauza. Człowiek wstaje. Pauza. Ambasador i Człowiek stoją naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

AMBASADOR — Niech mi pan pomoże przestawić fotel.
CZŁOWIEK — Dokąd?
AMBASADOR (*wskazuje na prawą stronę sceny*) — Tam.

Przenoszą fotel daleko na prawo. Ambasador ustawia fotel frontem do lewej kulisy.

AMBASADOR — A teraz niech pan usiądzie.

Człowiek zamierza usiąść w fotelu..

AMBASADOR — Nie, nie tutaj.
CZŁOWIEK — A gdzie?
AMBASADOR — Nie z tej strony. Najlepiej będzie, jeżeli pana umieścimy... O, tu.

Ambasador wskazuje miejsce na podłodze, tuż za fotelem.

CZŁOWIEK — Na podłodze?
AMBASADOR — Proszę mi nie zadawać pytań.

Człowiek siada na wskazanym miejscu, za fotelem, plecami wsparty o fotel, twarzą do prawej kulisy. Ambasador odstępuje, staje w pewnym oddaleniu, żeby z dystansu ocenić **arrangement,** *którego jest autorem. Ocena wypada pozytywnie.*

AMBASADOR — Bardzo dobrze.

Ambasador zdejmuje i odrzuca futro. Jest znów tylko w nienagannym ubraniu, jak na początku aktu pierwszego. Zostawia futro w takim miejscu, żeby nie grało żadnej roli w kompozycji końcowego obrazu, to znaczy nie zwracało uwagi widza.

Ambasador siada na fotelu. Ambasador i Człowiek tworzą teraz zwartą całość. Ambasador siedzi na fotelu, zwrócony twarzą do lewej kulisy. Człowiek siedzi na podłodze za fotelem, wsparty plecami o fotel, zwrócony twarzą do prawej kulisy. Ambasador w nienagannym ubraniu, wyprostowany, dłonie złożone na poręczach fotela, kolana złączone. Człowiek z podkurczonymi nogami, owinięty w koc.

AMBASADOR — Niech pan zamknie oczy.
CZŁOWIEK — Dlaczego?

Ambasador odwraca się gwałtownie do tyłu, ale nie wstając, nie unosząc się z miejsca, tylko skręcając górną połowę ciała i głowę. Krzyczy prawie.

AMBASADOR — Prosiłem, żeby mi pan nie zadawał żadnych pytań!

Człowiek zamyka oczy.

Krótka pauza.

AMBASADOR — Zamknął pan oczy?
CZŁOWIEK — Tak.
AMBASADOR — Na pewno?
CZŁOWIEK — Na pewno, panie Ambasadorze.
AMBASADOR — Dobrze. I niech pan ich już nie otwiera.

Ambasador wraca do poprzedniej pozycji. Wyjmuje rewolwer, który miał ukryty pod marynarką. Nie pistolet, ale rewolwer i to dużego kalibru, z długą lufą. Musi to być broń wizualnie efektowna. Odciąga kurek (odbezpiecza) i zmienia postawę. Pochyla się teraz do przodu rozstawiwszy kolana i łokieć prawej ręki, w której trzyma rewolwer, wspiera na prawym kolanie, a przedramieniem lewej ręki podpiera przegub prawej ręki. W tej postawie strzelca pozostanie już aż do końca, skupiony, nieruchomy, kierując lufę rewolweru ku lewej kulisie, czyli mierząc w drzwi wejściowe.

AMBASADOR — A teraz niech pan sobie pomyśli o czymś przyjemnym.
CZŁOWIEK — O czym, panie Ambasadorze?
AMBASADOR — O czymś, o czym pan lubi myśleć, co panu sprawia przyjemność. Na przykład jakieś wspomnienia...

Pauza.

Człowiek, od momentu kiedy zamknął oczy, już się nie rusza. Siedzi nieruchomo z zamkniętymi oczami, zwrócony twarzą ku prawej kulisie i pozostanie tak aż do końca.

AMBASADOR — No co, myśli pan?
CZŁOWIEK — Tak, panie Ambasadorze.

AMBASADOR — O czym pan myśli?

CZŁOWIEK — O tym, jak to będzie dobrze, kiedy już dostanę azyl i stąd wyjadę. Ja daleko wyjadę, panie Ambasadorze. O tym, jak zacznę nowe życie.

AMBASADOR — Właściwie, to ja pana nie lubię.

CZŁOWIEK — Ale dlaczego!

AMBASADOR (*ostro*) — Prosiłem, żeby pan mi nie zadawał żadnych pytań!

Pauza.

AMBASADOR — No dobrze, powiem panu. Nie lubię pana, bo przez pana nie mogę uwierzyć, że to wszystko to jest tylko jeden wielki, kosmiczny bluff. Teraz już nie mogę uwierzyć w to do końca. Bo mi już nie wolno. Rozumie pan? Przez pana mi nie wolno. Przez tę moją przeklętą, głupią, bezsensowną odpowiedzialność za pana!

Pauza.

CZŁOWIEK — Która godzina, panie Ambasadorze.

Ambasador ma wciąż przed oczami zegarek, na przegubie lewej ręki, tej którą podtrzymuje prawe przedramię.

AMBASADOR — Za minutę dwunasta.

Wyciemnienie. Najpierw tylko na dole sceny. Stopniowo Ambasador i Człowiek stają się tylko sylwetkami, potem całkiem zanikają w ciemności. Godło-emblemat-herb zawieszone nad sceną ciągle jeszcze w blasku. Potem góra sceny zaciemnia się także.

KONIEC